

WIEŚCI z POLSKI

ROK VI Nr. 7—8 LIPIEC—SIERPIEŃ

Stowarzyszenie pomocy emigrantom pod nazwą:

„OPIEKA POLSKA NAD RODAKAMI NA OBCZYŹNIE"

ZARZĄD GŁÓWNY: Warszawa, Krak.-Przedm. 6 m. 11a. Tel. 690-54. Konto P.K.O. Nr. 15.326

OKRĘGI I ODDZIAŁY KRAJOWE „OPIEKI POLSKIEJ":

OKRĘG I ŚRODKOWY „OPIEKI POLSKIEJ"

ZARZĄD OKRĘGU I ŚRODKOWEGO — Zarząd Główny Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 6, m. 11a. Tel. 690-54 Konto P. K. O. Nr. 15.326

Zarządy Oddziałów:

1. **Oddział w Warszawie**: Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 6. m. 11a. Tel. 690-54. —
2. „ **Płocku**, ulica Kolegjalna 1, m. 2. (Prezes W. Kulesza).
3. „ **Łodzi**, ulica Moniuszki 11. (Prezes Wanda Ładzina).
4. „ **Radomsku**, ul. Reymonta 2. (Sekretarka Marja Dobrzelewska).
5. „ **Dąbrowie - Górniczej**, ulica Sobieskiego 6 (Prezes Adwokat R. Morgulec).
6. „ **Lublinie**, ul. Spokojna 1, (Dr. Bryła).
7. „ **Wilnie**, ul. Orzeszkowej. 11.
   Biuro Informacyjne i Pomocy Emigrantom: ul. Subocz 20.
8. „ **Gdyni** — (prezes inż. Łęgowski).
9. **Oddział we Lwowie**, Wiśniowieckich 4, II p. Tel. 86-15 Konto P. K. O. Nr, 153-701.
   Biuro Informacyjne i Pomocy Emigrantom we Lwowie ul. Wiśniowieckich 4 tel, 86-15.
10. **Oddział w Borysławiu**, skrzynka poczt. 117 (p. Markowska)
11. „ **Drohobyczu**, starostwo Drohobycz.
12. „ **Przemyślu**, Starostwo.
13. „ **Samborze**, Trybunalska 21.
    Sekretarjat Pomocy Emigrantom (tamże)
14. „ **Tarnopolu**, ulica Kopernika 6, Tel. 78. — Konto P. K. O. Mr. 410.132.
    Biuro Informacyjne i Pomocy Emigrantom (tamże)
15. „ **Czortkowie**, Wydział Powiatowy. (Prezes L. Glodt).
16. „ **Trembowli**, (Prezes Jan Turski).
17. „ **Złoczowie**, ulica Podwójcie 21, (naprzeciw Pow. Kom. Policji) p. Uranowicz.
    Sekretarjat Pomocy Emigrantom (tamże)
18. „ **Stanisławowie**, ul. 3-go Maja 30. (dom T. S. L.)
    Sekretarjat Pomocy Emigrantom (tamże)
19. „ **Krakowie**, Rynek 24 (Prezes A. Jaworski) Konto P.K.O. Nr. 410.262
    Biuro Informacyjne Pomocy Emigrantom, ul. Lubelska 27, (Ekspozytura Urz. Em).

OKRĘG II ZACHODNI „OPIEKI POLSKIEJ"

ZARZĄD OKRĘGU II ZACHODNIEGO — Poznań, ulica Wały Zygmunta Starego 9. Konto P. K. O. Nr. 212.756. Tel. 39-90

Zarządy Oddziałów:

1. **Oddział w Baszkowie**, pow krotoszyński, (Prezes ks. Buchwald).
2. „ **Bydgoszczy**, Bydgoszcz, ulica Dworcowa 66. (Prezes Józef Zawitaj)
3. „ **Chodzieży**, pow. chodzieski, (Prezes ks. Kurpisz).
4. „ **Cieszynie**, pow. odolanowski, (Prezes J. Elsner).
5. „ **Drawsku**, pow. czarnkowski, (Prezes Ks. Prob Lukrawski.)
6. „ **Gnieźnie**, pow. gnieźnieński. (Prezes ks. Dziekan Zabłocki).
7. „ **Gostyniu**, pow. gostyński, (Prezes Ks. Schreybrowski).
8. „ **Golinie Kościelnej**, pow. jarociński (w organizacji). (Prezes Ks. Powel).
9. „ **Grodzisku**, pow. grodziski. (Prezes Ks. Kruszka
10. „ **Inowrocławiu**, pow. inowrocławski. (Prezes Ks. Radca Kubski).
11. „ **Jankowie Zaleśnym**, pow. odolanowski. (Prezes Ks. Mielke).
12. „ **Kamionnej**, pow. międzychodzki (w organizacji). (Prezes Ks. Braun).
13. „ **Kępnie**, pow. kępiński, (Prezes Starosta Kasprzak).
14. „ **Kobylinie**, pow. krotoszyński, (Prezes Stanisław Tyczyński).
15. „ **Kościanie**, pow. kościański, (Prezes Mecenas Fiszbach).
16. „ **Kotłowie**, pow. ostrzeszowski (Prezes Franc-Kubicki).
17. „ **Koźminie**, pow koźmiński, Prezes dyr. Marciniec).
18. „ **Krotoszynie**, pow. krotoszyński, (Prezes ks. Proboszcz St. Małecki).
19. „ **Lesznie**, pow leszczyński, (Prezes ks. Proboszcz St. Jankiewicz).
20. „ **Lubaszu**, pow. czarnkowski, (Prezes ks. Dziekan Rozenberg).
21. „ **Łobżenicy**, pow. wyrzyski, (Prezes Reinholz)
22. „ **Mącznikach**, pow. średzki, Prezes ks. Proboszcz Rochalski).
23. „ **Miasteczku**, pow. wyrzyski, (Prezes ks. Proboszcz Niedbał).
24. „ **Miedziuchowie**, pow. nowotomyski (Prezes Stefan Sobera).
25. „ **Mikstacie**, pow ostrzeszowski, (Prezes ks. Proboszcz Rosochowicz).
26. „ **Mogilnie**, pow. mogileński, (Prezes ks. Proboszcz Brodowski)
27. „ **Mórkowie**, pow. leszczyński, (Prezes ks. Stannek).
28. „ **Nowym Tomyślu**, pow. Nowotomyski, (Prezes ks. Proboszcz Kuliszak)
29. „ **Odolanowie**, pow. odolanowski, (Prezes dyr. Cybichowski).

ROK VI WARSZAWA, LIPIEC—SIERPIEŃ 1933. Nr. 7—8

WIEŚCI Z POLSKI

MIESIĘCZNIK DLA POLAKÓW NA OBCZYŹNIE
ORGAN STOWARZYSZENIA "OPIEKA POLSKA NAD RODAKAMI NA OBCZYŹNIE"

TREŚĆ NUMERU:

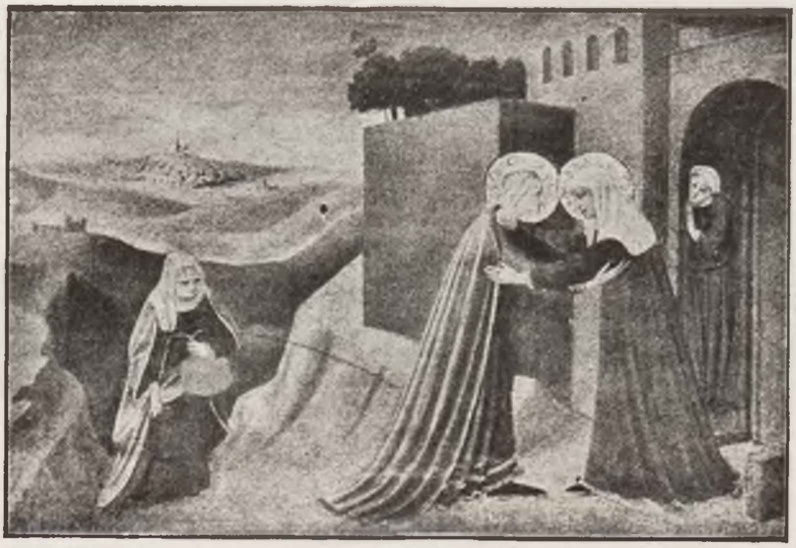
1. Modlitwa do Matki Boskiej. — 2. 6 sierpnia. — 3. *B. M.* Kazimierz Wielki. — 4. *K. Warchałowski.* Pod obcą banderą. — 5. *J. N. Niemcewicz.* Kazimierz Wielki. — 6. Błogosławiony Jan z Dukli — 7. *M. Konopnicka.* Boża rodzica. 8. Lew Sapieha. — 9. Najnieszczęśliwsi przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. — 10. Polacy na wyspie Niedźwiedziej — 11. Kapitan Skarżyński w Brazylji. — 12. Wiadomości z kraju — 13. Polonja Zagraniczna. — 14. Konkurs im. St. Gawrońskiego. — 15. Nasz dodatek muzyczny.



Modlitwa do Matki Boskiej

Gospodo moja miła, ku Tobie się uciekam, iżeś wszystko moje ucieszenie; nie odrzucaj mię przez mą wielką złość, przyjmij mię przez twe gorące miłosierdzie, bo jesteś przytulenie wszystkich odrzuconych. Matko sierót, ucieczko ubogich, ucieszenie wzdychających, nadziejo wszystkich żałujących, zlituj się nademną, schyl ku mnie uszy swoje najświętsze na usłyszenie mojej niedostojnej modlitwy, oświeć i naucz, iżbym tego żądała i prosiła, coby się Tobie zlubiło słyszeć. Zdrowaś i raduj się, Osobo najcudniejsza, Dziewico najczystsza i najświętsza, którą Święta Trójca w żywocie matczynym uświęciła, darami Ducha Świętego obdarowała i mocą swego bóstwa błogosławiła. Matko zlitowania, proszę zlitowania twego przez tę sławę, jakąś przyjęła od Boga w Trójcy jedynego, gdy Cię obrał w tajemnicy bóstwa swego przed stworzeniem świata..., a przez tę radość, Gospodo moja, Ciebie proszę, którąś miała przy przemówieniu anielskiem, przez to uświęcenie, gdy w Cię wstąpił Duch Święty nawiedzeniem bóstwa z człowieczeństwem i przez tę radość, jakąś wtedy miała, gdy trzej królowie przyszli z dary przed Twego jedynaka i gdyś Go do kościoła nosiła i Bogu Ojcu za nas ofiarowała i przez te wszystkie radości, jakieś miała od wstąpienia słowa Boga Ojca w Twój żywot aż do Jego cierpienia — odzierż mi u Jedynaczka swego zbawienie, moim grzechom odpuszczenie, Jego świętą miłość, a dobre życie w świętym zakonie, roztropność w moich dziełach, zdrowie duszne i cielesne, iżbym twemu Jedynaczkowi posłużyła, a moim bliźnim w dobry przykład była. Gospodo moja, Ciebie proszę, iżeś znalezienie zaginionych, odkupienie w niewoli będących, oświecenie ciemnych, droga błędnych, podwyższenie upadłych, podpora krewkich, uleczenie niemocnych, przyodzienie obnażonych, a przez te dobroci Twoje, proszę Ciebie, wejrz na moją nagość, skaż we mnie co jest Tobie nielubego; duszy mojej daj miłość i żądzę ku Twemu dobremu, a wytrwanie we wszem dobrem, daj miłosierdzie mojemu starszeństwu, daj mi pomoc twoją we wszelkich potrzebach moich dusznych i cielesnych. Matko Boża, Ciebie proszę, ku zbawieniu obrządź mi zejście z tego świata, taką niemocą i taką śmiercią jako wiesz lepiej; ale proszę, zbaw mnie od nagłej, niespodziewanej śmierci i śmierci wiekuistej.

Modlitwa ta wzięta jest ze starego rękopisu z XV wieku, znajdującego się w Monachjum, w zbiorach b. królowej bawarskiej. Rękopis ten, znany pod nazwą Książeczki do nabożeństwa Jadwigi Nawojki, był prawdopodobnie własnością rodziny królewskiej Jagiellonów, może Jadwigi, córki Jagiełły. Nieznajomość łaciny u dawnych niewiast polskich była powodem, że układano dla nich specjalne polskie modlitewniki. Dzięki temu posiadamy te cenne zabytki naszej mowy, pochodzące z czasów, gdy nie istniało jeszcze polskie piśmiennictwo. Modlitwę powyższą, będącą jednym z najpiękniejszych klejnotów starodawnej pobożności Polek, podajemy tu w związku z sierpniowemi uroczystościami ku czci Matki Boskiej Częstochowskiej. Po zmodernizowaniu pisowni i niektórych zwrotów, może ona służyć po dziś dzień do odmawiania. Treść jej świadczy, że szczególny kult do Matki Boskiej i ufność w Jej skuteczną opiekę istniały w Polsce od najdawniejszych czasów.



6 SIERPNIA

6 sierpnia 1914 r. był dniem narodzin żołnierza polskiego.

Choć naród nasz żył wówczas w niewoli, pod rządami Rosjan, Niemców i Austrjaków, znalazła się jednak mała garść szaleńców, która ruszyła na niepewny bój, by zdobyć wolność i niepodległość Ojczyzny. Z długoletniej pracy, przysposabiającej potajemnie naród do walki orężnej oraz z porywu najlepszej młodzieży — powstały Legjony Polskie. Powołał je do życia — mocą nieugiętej swej woli — Komendant Józef Piłsudski. Na Jego to rozkaz — 6 sierpnia 1914 r. — ze starych murów Krakowa wyszła na wojnę z Rosją pierwsza kompanja strzelców, pierwsza kompanja kadrowa nowego wojska polskiego. Wkrótce ruszyły za nią bataljony, pułki, brygady...

Rzecz dziwna — a raczej szczególna — niezwykła ta chwila wypadła w pamiętną rocznicę, bo równo w pięćdziesiąt lat od bolesnego ciosu, jaki zadał nam rosyjski ciemięzca. Moskale — dławiąc powstanie naszych ojców — w dniu 5 sierpnia 1864 r. powiesili w Warszawie, na stokach Cytadeli, Naczelnika powstania Romualda Traugutta i członków Rządu Narodowego. I od tej pory — przez długie pół wieku — przestało istnieć w ustach świata imię żołnierza polskiego.

Z krwi i kości bohaterów powstania 1863/64 roku wyrośli jednak mściciele. Nie oglądając się na trudy i ofiary, wpatrzeni w postać umiłowanego swego Wodza, podnieśli legjoniści chorągiew czynu i porwali za sobą kwiat polskiej młodzieży. Przez długie lata bojów — karabinem i szablą znaczyli szlaki zwycięstw i sławy polskiego oręża. Mogiły poległych legjonistów pokryły drogi ich marszów i bitew po krajach niemal całej Europy.

Ale gdy w listopadzie 1918 r. zabłysnęła wreszcie nad krajem naszym jutrzenka swobody, rozrosły się Legjony w potężne wojsko narodowe. Uporało się ono odrazu z wrogiem niemieckim i austrjackim, a w przeciągu dwu lat pokonało groźnego najeźdźcę wschodniego — Rosję bolszewicką.

Wspominając dziś wymarsz Legjonów, posłuchajmy ostatnich słów rozkazu Komendanta Józefa Piłsudskiego wydanego w dn. 5 sierpnia 1915 r. na pierwszą rocznicę istnienia Legjonów:

„Chłopcy! Naprzód! Na śmierć czy na życie, na zwycięstwo, czy na klęskę — idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychwstania!"

Owi chłopcy - żołnierze przeszli przez ciężkie i krwawe próby, z uporem jednak szli naprzód i doszli do wolnej Polski.



Kazimierz Wielki.

(1333—1370 r.)

W czerwcu tego roku upłynęło sześć wieków od chwili koronacji Kazimierza zwanego Wielkim. Starożytny Kraków, w którym król ten żył i działał, który w murach swych i instytucjach przechowuje tak widoczne ślady jego mądrej i silnej ręki, a w katedrze wawelskiej chroni jego prochy, obchodził tę rocznicę z uroczystą powagą. Korzystając z poruszenia serc, obchodem tym wywołanego, godzi się nam utartym zwyczajem, przypomnieć jego czyny i wyjaśnić sobie jaki był powód tej czci powszechnej i podziwu, którym otaczali go współcześni, jaką spuściznę pozostawił krajowi ów ostatni potomek rodu Piastów, budowniczych państwa polskiego.

Gdy w r. 1333 23-letni Kazimierz wkładał na skronie koronę przekazaną mu przez bohaterskiego ojca, Władysława Łokietka, Polska rozpoczynała zaledwie zrastać się i krzepnąć po parowiekowem dzielnicowem rozbiciu. Zaledwie Małopolska i Wielkopolska były w jego władzy, na Mazowszu i Śląsku panowali oddzielni książęta Piastowego rodu, a wgłąb najrdzenniejszych ziem polskich, Pomorza, Kujaw, Dobrzynia, wrzynał się zaborczy Zakon Krzyżacki, trapiąc okrutnemi napadami także Wielkopolskę i Mazowsze. Grozili całości młodego państwa polskiego Czesi, na zachodzie i wschodzie wzrastały wielkie potęgi — Węgry i Litwa. Nie dziw, że z głęboką troską patrzał w przyszłość swego państwa umierający Łokietek tembardziej, że młody królewicz nie był podobnym ojcu wojowniczym rycerzem-bohaterem. Ale inne przymioty umysłu i charakteru czyniły go wielkim. Ocenił je trafnie papież ówczesny, gdy w trzy lata później mówi o nim, że „choć wiekiem jest jeszcze młodzieńcem, dojrzałym jest mężem duchowo do zarządu swego państwa, opieki pokoju i sprawiedliwości". Przebywając czas dłuższy na dworze szwagra swego, króla węgierskiego Karola Roberta, z francuskiego rodu królewskiego, wychowanego w Sycylji, miał Kazimierz dobrą szkołę sztuki rządzenia i najwyższej w owym czasie kultury francusko-włoskiej.

Otoczony zewsząd przeważającemi siłami nieprzyjaciół, rozumiał młody król, że zadaniem jego jest przedewszystkiem wzmocnienie Państwa nawewnątrz i zabezpieczenie się przez mądre i zręczne układy.

Rozwaga, zręczność, głębokie poczucie dostojeństwa, trafne rozumienie układu ówczesnych sił i wszechstronne ogarnianie interesów kraju kierowały jego zewnętrzną polityką. Gdy dla zapewnienia sobie wolnej ręki dla pracy pokojowej lub dla walki na innym froncie, zgadzał się na bolesne nieraz ustępstwa w stosunku do Krzyżaków lub Czechów, wywoływało to oburzenie najbardziej wówczas uświadomionych narodowo panów krakowskich, świeckich i duchownych. Nie byli w stanie objąć zręczności dyplomatycznej Kazimierza, który wyczekiwał stosownej chwili, aby zdobyć chwilowo ustąpione ziemie.

Paktując z Krzyżakami, odwoływał się jednocześnie do ówczesnego najwyższego trybunału sprawiedliwości międzynarodowej — papieża i niemałym tryumfem moralnym Polski było, gdy proces kanoniczny wytoczony przez Benedykta XII w r. 1339 przeciw Zakonowi Krzyżackiemu, skazał go na zwrot Polsce ziemi pomorskiej, chełmińskiej, michałowskiej, Kujaw i Dobrzynia jako nieprawnie zagrabionych i na zapłacenie olbrzymiej sumy tytułem wynagrodzenia szkód. Aczkolwiek dla braku sił nie doszło do wykonania wyroku, wzmocnione tem zostało stanowisko króla polskiego.

Zarzucano Kazimierzowi, że zajęty powiększaniem Polski na wschodzie, — zdobywaniem Rusi Czerwonej i Wołynia, zaniedbał zachodnie polskie ziemie. A przecie ze wszystkich działań jego wynika nieustanna myśl o całości interesów państwa polskiego. Rozumiał, że dla odebrania dzielnic przez Czechów i Krzyżaków opanowanych, należało wprzód zdobyć przez zaokrąglenie dziedzin swych na wschodzie niezbędne mocarstwowe stanowisko i środki wojenne. Korzysta też z każdej sposobności, aby przyłączyć do Polski cząstkę po cząstce ziem utraconych.

Obyczajem ówczesnym dążył do rozszerzenia wpływów swych i powagi przez małżeństwa. W tym celu wydał córkę swą Kunegundę za margrabiego brandenburskiego, siedzącego na odwiecznych słowiańskich ziemiach, niegdyś własności Bolesława Chrobrego, a po bezpotomnej śmierci zięcia, opierając się na warunkach intercyzy ślubnej, zażądał od stanów brandenburskich złożenia sobie hołdu jako panu zwierzchniemu tej ziemi. Gdy zaniepokojeni Krzyżacy rozpoczęli układy, ustąpił wprawdzie, nie mając dość sił do walki z nimi i z cesarzem niemieckim, ale pod warunkiem przyłączenia do Polski dwóch grodów, Drezdenka i Santoka.

Drugą córkę swą wydał Kazimierz za pomorskiego księcia, panującego na Szczecinie, Bogusława, w tej myśli aby utrzymać przy Polsce ów szczep książęcy i owe ziemie już podówczas poważnie germanizacją zagrożone. Dlatego przez cały ciąg panowania Kazimierza wiernie stali przy nim przeciw Zakonowi książęta zachodniego Pomorza. A najmocniejszym, najbardziej przekonywającym

dowodem mądrej, wielkiej myśli politycznej Kazimierza jest testament jego, w którym, oddając rządy nad zjednoczonem, wzmocnionem i tak znacznie rozszerzonem państwem polskiem siostrzeńcowi swemu, Ludwikowi węgierskiemu, najpotężniejszemu wówczas monarsze Europy, uczynił jednak wyłom w zasadzie jednolitości władzy, do której dążył przez życie całe, i oddał ziemie bezpośrednio graniczące z Zakonem, dobrzyńską, kujawską, sieradzką, łęczycką, część Wielkopolski, wnukowi Kazimierzowi szczecińskiemu, synowi Bogusława, aby utrzymać wzmocniony węzłami pokrewieństwa związek Polski z Pomorzem i dostęp jej do morza w przyszłości zapewnić. Pozbawiony potomka męskiego, nie widząc wśród krewniaków swych, książąt śląskich i mazowieckich, dostatecznych sił i powagi dla utrzymania Polski w rzędzie mocarstw, marzył widocznie stary król, że ten pomorski wnuk jego, pod zwierzchnią władzą potężnego Ludwika, króla Węgier i Polski, zdoła z czasem odebrać dzielnice wydarte przez Zakon Krzyżacki, złączyć pod jednym berłem całe zachodnie wybrzeże Bałtyku i tem zakończyć budowę mocnego i zwartego na wschodzie i zachodzie państwa polskiego.

Stało się inaczej. Król Ludwik zajęty sprawami Węgier, nie wypełnił myśli przewodniej swego wielkiego wuja i testamentu jego nie uszanował, przyznając Kazimierzowi szczecińskiemu jedynie drobny skrawek przeznaczonej mu spuścizny. Mimo to jednak przewidująca i cierpliwa polityka Kazimierza w stosunku do Krzyżaków odniosła tryumf wspaniały w czterdzieści lat po jego śmierci na polach Grunwaldu.



Kazimierz Wielki.

KAZIMIERZ WARCHAŁOWKI.

Pod obcą banderą

c. d.

Obudził się późno. Kupca już nie było w kabinie. Parowiec kołysał się nieznacznie, było chmurno ale deszcz nie padał. Morze było jakieś szare, niewielkie fale przelewały się leniwie przed oczyma, parę mew krążyło w powietrzu.

Ks. Teodor nie zdążył się jeszcze ubrać, gdy do kabiny zastukał steward, pytając, gdzie życzy sobie jeść śniadanie. Może przynieść do kabiny? Ksiądz wolał udać się na górę. Pasażerowie już byli po śniadaniu, ale stół księdza był pięknie nakryty i starszy steward osobiście robił przy nim honory domu. Ks. Teodor dowiedział się od niego, że cały parowiec opowiada sobie wczorajszą scenę, jak ksiądz uspokoił ludzi i jak modlili się i śpiewali pięknie.

— Kapitan kazał siebie uprzedzić, jak ksiądz wstanie, bo chciał przyjść, by mu podziękować za interwencję.

— Za cóż tam dziękować, zupełnie nie potrzeba. Ja zresztą zaraz biegnę do moich ludzi, tylko mi pan wskaże drogę. W nocy to wszystko inaczej wyglądało, sam bym zabłądził. —

Steward oczywiście podjął się księdza zaprowadzić. Nie zwlekając poszli tam obaj. Przybyli w porę, bo zaczęły powstawać tam niesnaski na tle nieporozumień językowych i dyscypliny okrętowej. Dopraszano się gorącej wody na herbatę, którą wielu miało ze sobą, inni prosili o chleb, który nie zdążyli zdobyć podczas pierwszego śniadania i t. p. Steward przy pomocy księdza załatwił wszystkie te frasunki i wreszcie zostawił ich samych.

Ks. Teodor zaintonował ranne modlitwy i po odśpiewaniu kilku pieśni ludzie otoczyli go znów zwartem kołem i zaczęły się nieskończone rozmowy na temat przeszłości i przyszłości. Ludzie ucieszyli się niezmiernie, gdy się dowiedzieli, że ksiądz jedzie do samej Brazylji.

Na wschodzie zaś danem mu było już za życia dokonać dzieł wielkich i trwałych — przyłączyć Ruś Czerwoną, owe „czerwieńskie grody,“ które już poprzednio, przed kilku wiekami, należeć miały do pierwszych władców Polski, opanować Wołyń i poddać obszary te stałemu oddziaływaniu kultury polskiej. W zwycięskim pochodzie na wschód i południe — ku Morzu Czarnemu — miał potężnych współzawodników, wielkich książąt litewskich Olgierda i Kiejstuta, braci pierwszej jego żony, Aldony Giedyminówny. Z właściwą sobie zręcznością potrafił naprzemian, zależnie od potrzeb chwili, to oparcia szukać w tych związkach rodowych przeciw wspólnemu wrogowi — Krzyżakom, to wspólnie z węgierskim swym szwagrem urządzać, przy poparciu papieża, wyprawy na pogańską wówczas Litwę, napadającą wraz z Tatarami chrześcijańskie ziemie. Aż po Śniatyn, dzisiejszą naszą południową granicę, umocnił Kazimierz swe panowanie. Aczkolwiek Olgierd litewski (ojciec późniejszego króla polskiego Jagiełły) wsławił się znakomitszemi niż Kazimierz zwycięstwami i rozleglejsze od niego obszary opanował, dotarł nawet do Morza Czarnego, które symbolicznie pod swą władzę zagarnął, wjeżdżając konno w przybrzeżne wody, była to krótkotrwała jedynie potęga, gdyż brakowało jej oparcia o mocniejsze podstawy organizacyjne i ideowe. Natomiast zasługą Kazimierza było rozpoczęcie na świeżo zagarniętych ziemiach wschodnich wielkiego cywilizacyjnego dzieła. Spustoszone przez ciągłe napady Tatarów i innych nieprzyjaciół obszary zaludniać począł osadnikami, którym dawał ulgi i ochronę. Popierał rozwój rzemiosł i handlu, budował zamki obronne w Przemyślu, Lwowie, Sanoku, Haliczu, Trembowli, Włodzimierzu, pomagał szerzeniu wiary katolickiej, ale jednocześnie zapewnił poszanowanie miejscowej religji prawosławnej, dawne prawa i przywileje ludności ruskiej utrzymał. Słusznie twierdzi jeden z historyków tej epoki, że za panowania Kazimierza wytrysła wielka misja dziejowa Polski, obejmowanie wpływami zachodniej cywilizacji obszarów wschodnich, zapóźnionych w rozwoju wskutek długotrwałego mongolskiego jarzma i szeregu innych przyczyn.

Aby stać się ogniskiem politycznych i cywilizacyjnych dążeń na Wschód, musiała Polska wprzód wzmocnić się wewnętrznie, ze zlepku dzielnic stać się zbudowanym na krzepkich zrębach, świadomym siebie i spoistym organizmem państwowym. Taką zostawił ją Kazimierz, przeorawszy głęboko długoletnią pracą pokojową. Na plan pierwszy wysuwa się jego działalność administracyjna i ustawodawcza. Za jego panowania tworzą się zawiązki późniejszych urzędów państwowych, on pierwszy ustanawia starostów, zarządzających ziemiami z królewskiego ramienia, on surowością powściąga anarchję i grabieże, słabych i ubogich otaczając opieką, za co „królem chłopków“ przezwany został. Rozumiał, że aby wzbudzić poszanowanie prawa, należało prawa te, dotychczas głównie na miejscowych zwyczajach oparte, uporządkować i spisać. Owocem jego prac w tym zakresie są statuty, ustalające na wszystkich ziemiach wymiar sprawiedli-

---

— No to i na kolonję z nami, zaraz pobudujemy kościół i plebanję, kusili księdza. —

Znaleźli się cieśle i murarze, strycharze i dekownicy. Rozprawiano z powagą i fachowo. Fundament musi być z kamienia, kościół to nie chałupa co to pod nią parę cegieł można podetknąć i już stoi.

— Wiadomo fundament pewna rzecz, ale ściany to by trzeba stawiać w zrąb. Lasu tam huk, a bo co?

— Jak stawiać to na mur, żeby to dzieciom i wnukom służyło.

— A czem pokryjemy?

— Dachówką, musowo.

— Gont też nie zgorszy.

— Gont jak gont, nawet pięknie wygląda ale w dziesięć roków zgnije. Jak ściany będą w zrąb to i wiązania można nie żałować, a na mocne wiązanie to i dachówka może przyjść, nie mamy to strycharzy, raz dwa, dachówki się narobi, pięknie gąsiorami przykryje to i będzie stało sto lat abo i dłużej:

— Pewnie, pewnie — potakiwano.

Strycharze byli w mniejszości ale nie chcieli głośno oponować, na boczku zaś radzili na swój sposób.

— O, będzie tam proboszcz drewniany kościół budować. Drzewo wiadomo gnój. Długo to wystawić choćby i z pół miljona cegły.

— To i wieży kawał się zrobi i otynkować sporzej. I wejście będzie jak się patrzy i okna się pięknie obłamuje.

— Niech tam gadają, a my wiemy swoje.

— A święcić to będzie biskup.

— Musowo.

— Co to nabożeństw i księży kilku być musi.

— Gdzie to my na święta będziemy? zagadnęła któraś.

— A no, między niebem i ziemią. Do wsi już nie trafiecie.

— Sieroty my biedne zawodziła druga. Ani to kościoła ani domu.

— A tam, ludziska się sposobią. I to napiekli nie jedno i stół ci sianem moszczą i na Pasterkę się sposobią.

wości i stanowisko prawne różnych grup społeczeństwa. Brak ludzi oświeconych w Polsce utrudniał niezmiernie usiłowania królewskie. Oceniając znaczenie wiedzy, ufundował przeto uniwersytet w Krakowie, jeden z najstarszych w Europie, po to, aby, według słów nadanego mu przywileju, stał się „źródłem nauk" i „wydawał mężów dojrzałością rady się odznaczających".

Niemniej dobroczynny był wpływ jego na gospodarstwo krajowe. Podniósł zamożność ludności wyniszczonej przez długie wojny i nieład. Profesor Kutrzeba cytuje piękne jego zdanie, że w powiększaniu dochodów królestwa widzi swoją chwałę, honor i korzyść i za obowiązek księcia uważa staranie się o wygodę i korzyści jego ziem i poddanych, o coraz lepsze dla nich warunki życia. Osadnictwo cieszyło się na całym obszarze Polski szczególną opieką Kazimierza. Wiele setek wsi zawdzięcza mu swoje powstanie, miast zaś założył, jak stwierdzają ostatnie badania, pięćdziesiąt dwa, wszystkie zaś troskliwą opieką otaczał. Wytycza szlaki handlowe na wschód i na południe i zapewnia na nich bezpieczeństwo i ochronę kupcom zagranicznym. Przez nakładanie wysokich ceł na przywożone przedmioty zbytku pobudzał rozwój rzemiosł krajowych. Wyliczają też kronikarze wielką ilość przeróżnych działów wytwórczości, które powstały lub rozkwitły za jego panowania. A więc różne gałęzie przemysłu budowlanego, wyrabianie sukien, kobierców, kapeluszy, iglarstwo, które posiadło osobną basztę dla cechu swego we Lwowie, szewstwo, które tak świetnie się rozwinęło, że aż w Anglji poszukiwane były śpiczaste trzewiki krakowskie, t. zw. cracoves, rękawicznictwo, które zasłynęło doskonałością swoich wyrobów we Flandrji (Belgji dzisiejszej), mydlarstwo, malarstwo na drzewie, murze i szkle, płatnerstwo i wiele innych rzemiosł. Podobno pod koniec jego panowania zmniejszył się znacznie przywóz wyrobów zagranicznych, niemal wszystkie bowiem umiano już wytwarzać w kraju.

Z zamiłowaniem ozdabia król Polskę okazałemi gmachami, których wiele przetrwało do naszych czasów, kształtem swym, stylem świadcząc o pochodzeniu z tej właśnie Kazimierzowskiej epoki. Mówią kronikarze, że wiele kościołów i klasztorów ufundował i przyozdobił dla przebłagania Boga za grzechy. Zbudował też wiele zamków, nietylko dla zadowolenia swych ambicyj dobrego gospodarza, co „Polskę zastawszy drewnianą, pozostawił ją murowaną", i nietylko dla dania — jak powiadają ciż kronikarze — zarobku ubogiej ludności. W zakładaniu grodów obronnych miał plan szeroko zamyślony — chodziło mu o fortyfikację Polski w miejscach najbardziej zagrożonych przez najazdy. Wojna Jagiełły z Krzyżakami i dowiodła jak dalece przewidujący był ów plan.

Niemniej planowe było wzmacnianie sił wojskowych kraju. Był to wielki organizator armji polskiej i słusznie przypisują mu zasługę tak znakomitego podniesienia jej wartości bojowej i liczby, że pod Grunwaldem pięćdziesiąt chorągwi polskich w świetnym ordynku wystawionych wyróżniało się korzystnie sprawnością swą i zaopatrzeniem wo-

---

— Żebyć choć kawałek opłatka.

— Przecie, naród ochrzczony, a cóżeście do organisty nie poszli.

— O Matko przenajświętsza, ulituj się nad naszą dolą — wzdychała któraś.

— Cóż ta chceta, w podróży, jak to w podróży, i czegój się wam zachciewa.

Ks. Teodor mocny wrażeniem, które na władzach parowca wywarł pierwszego wieczoru, wyprosił u kapitana pozwolenie na zajęcie dla swych celów jednej z wolnych hal tylnego międzypokładu, parowiec bowiem miał miejsca na tysiąc osób, a wiózł obecnie zaledwo trzysta.

Od tej pory ks. Teodor, jakby się gdzieś zawieruszył; przychodził ale na krótko tylko; ludziska zaczęli już nawet sobie krzywdować. Ten i ów zastanawiać się zaczął, czy się ksiądz za co nie obraził. Nijako było spytać i markotno było niejednemu.

Antwerpja, dokąd statek zachodził, przeszła jakoś niepostrzeżenie; w doku gdzie stanęli nic ciekawego nie było, do miasta daleko, wreszcie mrzył zimny deszczyk i prócz pasażerów pierwszej klasy nikt z parowca nie wychodził; bali się zgubić a i interesu żadnego nie mieli. Ks. Teodor wybrał się razem z kupcem, ale w godzinę był z powrotem z jakąś malutką paczką. Nie zwróciło to zbytniej uwagi nikogo.

Ranek 24-go zastał nasz parowiec już na Biskajskiej zatoce. Mimo przepowiedni, pogoda się ustaliła. Niebo było szare, morze stalowego koloru, trochę mgły było w powietrzu. Słaby wiatr z południa przynosił fale cieplejszego powietrza nasycone jakąś nieznaną wonią. Ludziska wylegli na pokład. Spoglądano na szklącą się taflę morza, na przesuwające się na horyzoncie sylwetki parowców.

Dzieciarnia biegała tu i owdzie, oswajając się z dziwnemi przyrządami rozmieszczonemi na pokładzie, gapiąc się na zwoje lin, wanty biegnące ukośnemi linjami gdzieś hen na maszty, luki, wyloty wentylatorów. Parowiec kołysał się nieznacznie podnoszony przesuwającemi się pod nim niskimi falami.

Na dusze w rozterce, na nadwątlone serca, powoli zaczął spływać spokój i gdyby nie pamięć o wielkiem polskiem święcie, które zdala od swoich

jennem nietylko wobec litewskich i ruskich zastępów Witołda, ale nawet nie ustępowało znakomitym wojskom krzyżackim.

Już za życia mógł się słusznie chlubić Kazimierz owocami swych wspaniałych prac, rozkwitem siły i dobrobytu, który okazał się najwyraźniej na słynnym zjeździe monarchów w Krakowie z okazji zaślubin wnuczki jego, siostry Kazimierza szczecińskiego, z cesarzem Karolem IV. Wielkość jego objawiła się jednak najdobitniej w obfitym plonie jego dzieł, który przyniósł korzyść następnym pokoleniom; stworzył te zasoby materjalne i duchowe, z których czerpano przez długie wieki, na których rozwinąć się mogła potęga Jagiellońska Polski.

Kraj cały, a zwłaszcza lud krakowski głęboko odczuł śmierć wielkiego monarchy, która przerwała ciąg świetnego panowania i zrośniętej tak mocno z narodem dynastji Piastów. Wyrazem powszechnego żalu był wspaniały pochód żałobny, który w całym przepychu ówczesnych strojów przewinął się przez ulice Krakowa, obchodząc po drodze kościoły z następcą króla na czele, składającym wszędzie ofiary i jałmużny.

Gdy w r. 1879 badacze przeszłości zajrzeli do wnętrza grobu i odkryli dostojne szczątki i insygnia królewskie, odbył się drugi pochód, żałobniejszy o wiele, bo utracona była Kazimierzowa spuścizna, mrok niewoli zalegał cały horyzont krajowy i dzień wyzwolenia jeszcze nie świtał. Tragizm chwili tej odczuł i wyraził Stanisław Wyspiański w witrażu w kościele franciszkańskim wymalowanym i w poemacie „Kazimierz Wielki".

Obchód święcony w Krakowie w dniu 17 czerwca b. r. pozbawiony był tych akcentów wstrząsającego tragizmu, albowiem odżyła spuścizna Kazimierzowa w odrodzonej Rzeczypospolitej.

M. B.

Kraków wielkiemu królowi.

W 600-setną rocznicę koronacji Kazimierza Wielkiego, 17 czerwca o g. 9-ej, pochód ku Jego czci ruszył głównemi ulicami Krakowa kierując się ku katedrze wawelskiej. Wśród szpaleru publiczności przesunęły się otwierająca pochód banderja Krakusów, orkiestra salinarna z Wieliczki, delegacja górników z wieńcem, delegacje gimnazjów krakowskich, Legjoniści, Strzelcy, Rezerwiści, Sokoli, weterani, tramwajarze, związek rzemieślników i inwalidów, rabini żydowscy z Podgórza i Skawiny, oraz gmina żydowska. Następnie przesunął się Związek sędziów, Związek adwokatów, duchowieństwo, członkowie senatów Akademji Górniczej i Uniw. Jag. z wieńcami, poprzedzani pedelami, niosącymi insygnia uniwersyteckie, korpus oficerski, bracia kurkowi, Związek miłośników historji i zabytków Krakowa, wreszcie w otoczeniu sztandarów cechowych Rada miejska z prezydentem Dr. Kaplickim na czele.

---

i Ojczyzny w tych wąskich ścianach ruchomego ich domu, między obcymi, los kazał im spędzić, może niejeden uśmiech wykwitłby na twarzy, może nie jedno serce zabiłoby żywiej, a oczy zabłysły radością. Nigdy upośledzenie i rozłąka nie wydawały się im cięższe i niejedna pierś podniosła się głębokiem westchnieniem.

Ks. Teodor pojawił się parę razy na pokładzie; poklepał kilku mężczyzn po ramieniu.

— Nie martwcie się. Pan Bóg najlepiej radzi o swojej czeladzi.

Zażartował do kobiet, uśmiechnął się do dzieci, któreś z małych pogłaskał po policzku i znowu skrył się w kasztelu.

Zaczynało się ściemniać gdy na pokładzie rozległ się dzwonek wzywający na posiłek wieczorny. Pojawił się ks. Teodor i oświadczył gromko, że kapitan zaprasza pasażerów na wieczerzę na drugą stronę kasztelu. Posłano zawiadomić resztę ludzi, co siedziała na dole. Ksiądz ruszył przodem, za nim sznurem wyciągnęli się nasi ludzie dziwując się wielce co to i po co to i dokąd. Na tylnym pokładzie, takiemiż schodami jak na przednim, zeszli do międzypokładu tylnego. Pierwsze szeregi, znalazłszy się w szeroko rozwartych drzwiach jednej z hali stanęły olśnione. Część hali, uprzątnięta z hamaków, przeistoczona była na jadalnię, cztery duże stoły otoczone ławami okryte były obrusami, stały już tam rozstawione talerze z jakąś zupą, obok leżały bochenki bieluśkiego chleba, przed każdem nakryciem stał kubek blaszany z winem, leżała duża garść orzechów i migdałów. Po środku na dużym placku leżała wiązka opłatków. Ludzie oniemieli z podziwu; wsuwali się cichutko rozsuwając się pod ścianami i zwartym kołem otaczając stoły, przy których nikt nie śmiał usiąść. Ks. Teodor, spocony, ale uśmiechnięty przeżegnał je i odprawił modlitwę ujął następnie paczkę opłatków i przemówił w krótkich słowach, życząc szczęścia na nowej drodze życia, wytrwania w wierze ojców, zachowania mowy i obyczaju polskiego. Po tem obszedł zebranych, dzieląc się polskim zwyczajem ze wszystkimi. Łamano się tym chlebem pańskim z powagą i głębokiem wzruszeniem, całowano ręce księdza, rękawy jego skromnej sutanny; ten i ów niedwu-

Gdy pochód dotarł na podwórze zamkowe, do wnętrza bazyliki katedralnej weszli reprezentanci władz, delegacje i poczty sztandarowe, reszta pochodu udała się na dziedziniec arkadowy. Uroczystą mszę św. odprawił w katedrze w asyście duchowieństwa ks. infułat Dr. Ślepicki.

Po nabożeństwie, celebrans w otoczeniu duchowieństwa i przedstawicieli władz udał się przed zarzucony wieńcami sarkofag króla Kazimierza Wielkiego i odmówił na głos starożytną modlitwę za Kraków, zaczynającą się od słów: „Wysłuchaj Panie modlitwy nasze, a miasto nasze weźmij w moc i opatrzność swą, żeby aniołowie strzegli murów jego‘. Po modlitwie, obecni odśpiewali „Boże coś Polskę“.

Następnie na krużgankach dziedzińca arkadowego zajęli miejsca przedstawiciele władz i senatów akademickich, a naprzeciw krużganków ustawiły się delegacje. Gdy zjawił się pan wojewoda, odegrano fanfarę, poczem po odśpiewaniu przez chór „Echa“ pieśni „Boga Rodzica“, rektor Kutrzeba w pięknem i głębokiej treści pełnem przemówieniu, złożył hołd pamięci Wielkiego Króla. Reprezentanci władz powstali z miejsc, a przez kilka minut zaległo ogólne milczenie. Uroczystość zakończyła się odegraniem hymnu państwowego.

Juljan Ursyn Niemcewicz.

Kazimierz Wielki

Śpiew historyczny

Przez trzy wieki z męstwa znany
W męstwie Polak miał swe cnoty:
Na koniu, burką odziany,
Znosił głód i przykre słoty,
Ugorem stały obszary,
On bił Niemcy i Tatary.

Było to widzenie nowe,
Gdy król zwołał do Wiślicy
Polaków plemię Marsowe;
Oni w zbrojach i przyłbicy,
Sądząc, że wojować mieli,
Licznemi hufcy stanęli.

Kazimierz rzekł im: „Nie boju
Dziś od was żądam Polacy,
Czas byście żyli w pokoju,
I rycerze i wieśniacy.
Niech kraje bronią zajęte
Uszczęśliwią prawa święte.

To mówiąc, spisane księgi
Z ręku Mielsztyna odbiera;
Pieczęć wisiała u wstęgi
„Ten zakon, — rzecze: — zawiera
Przyszłego szczęścia zarody,
Waszą całość i swobody“

znacznie zaczął pociągać nosem, kobiety pochlipywały, kilka z nich wybuchnęło szlochem. Ale nie był to płacz bólu, upośledzenia czy nienawiści. Rozanielone dusze, rozbrojone serca w płaczu tym szukały ukojenia żalu za opuszczoną Ojczyzną, domem i bliskimi, dawały upust wdzięczności dla tego nowego pasterza, którego tak niespodziewanie tu znaleźli, co wszyscy uznali za widomy znak Boskiej Opatrzności.

Księdzu Teodorowi też ciepło było koło serca; oczy miał wilgotne, ale trzymał swoje uczucia na wodzy. Miał i on swoje bóle i swoje wspomnienia i tęsknoty ale czuł, że on jeden nie ma prawa się roztkliwiać, przeciwnie, musi dać przykład hartu i męstwa.

W pewnej chwili jedna z kobiet, osłabła ze wzruszenia, oparła się o stół i poczuła pod obrusem siano.

— Jezusie, Matko moja, widzicie ludzie? toć wieczerzać będziemy na sianie, zawołała zanosząc się od łkania.

Rzucono się próbować i zaglądać. Toć prawda rzetelna. Cienkie, zielone, delikatne, pachnące siano kryło się pod obrusem jak każe zwyczaj odwieczny polski.

— Myśmy już dawniej zmiarkowali, odezwało się paru. — Pięknie księdzu dobrodziejowi dziękujem, niczem tak ksiądz nas nie ucieszył. Polski to zwyczaj, starodawny.

— Dziękujemy pięknie, dziękujemy —zahuczało między ludźmi.

— Udał się nam księżyk, udał.

— Zkąd się on wziął tutaj; ja to sobie ciągle myślę.

— Panu Bogu dziękować. Panience Przenajświętszej.

— Przecie się Bóg ulitował nad biednym narodem.

Stoły prowizorycznie sklecone pomieścić mogły za jednym razem połowę ludzi. Ks. Teodor kazał siadać kobietom i dzieciom nasamprzód, chłopom zaproponował spacer na pokładzie.

— Przyjdzie i na was kolej.

„Nie dość obce ludy gromić,
Czas jest szczęśliwym być w domu;
Zuchwałą przemoc poskromić,
By nie szkodziła nikomu,
Gdzie sądzi zwierzchność surowa,
Nie zapłacze nędzna wdowa".

Jak w dzień majowej pogody,
Gdy deszcz ciepły przejmie rolę,
Budząc uśpione zarody,
Żyzne zazieleni pole,
Tak rządem co mądrość dała,
Zakwitnęła Polska cała.

Przychodzeń tłumem się zbiera,
Na odgłos lubej swobody.
Już pustynie pług rozdziera,
Wspaniałe wznoszą się grody,
Szereg twierdz, co granic strzeże,
Obronne baszty i wieże.

Nie raz król po włościach chodził,
I nie raz z kmieciem rozmawiał,
Wspierał w pracach, spory godził,
Nagradzał, w błędach poprawiał;
Ceny pochwały nie znano,
Gdy go królem chłopów zwano.

Już pod berło Kazimierza
Cisną się bliskie narody,
Zakres się państwa rozszerza:
Ci co piją Sanu wody,
Wołyń naówczas bezdrożny,
I Lwów i Halicz przemożny.

Szczęśliw wraca do stolicy,
A lud go wita wesoło,
Radne pany, wojownicy,
Otaczają go wokoło;
Niosły prodem hufce mnogie
Korony i skarby drogie.

Tam wnuczkę cudnej urody
Z cesarzem ślub kojarzy;
Wzywa na weselne gody
Czterech potężnych mocarzy,
Królów, książąt z Niemiec całych
Mieści po gmachach wspaniałych.

Widziano przepych nieznany
W ucztach, turniejach, gonitwach,
Od piękności dank przyznany
Zwycięzcy w szczęśliwych bitwach,
Kto na ostrze dzielnie godził,
Wśród oklasku z szranków schodził.

Monarchów poczet wesoły
Prosi do siebie Wierzynek.
Od srebra gięły się stoły;
Każdy biorąc upominek,
Myśli: szczęśliwy kraj cały,
Gdy tak mieszczanin wspaniały.

Kazimierz w wieku sędziwym
Doznał prac tylu nagrody,
Pod nim naród był szczęśliwym,
Żyzne pola, pyszne grody,
Na urzędach ludzie zdatni,
Takim był z Piastów ostatni.

— Pewnie że należy się babom pierwszeństwo, spłakały się rzetelnie, niech się wzmocnią na siłach; nikt ta nie głodny, chwalić Pana Boga.

Wieczerza odbyła się cicho i składnie. Dziewczęta i chłopaki wyciągali raz po raz źdźbła siana ze stołu, że to niby wróżba z tego być może. Dzieci zerkały na orzechy, nie bardzo się przejmując jadłem.

Starsi statecznie świadczyli sobie, wspominając dawne dzieje, zwyczaje jasełka, jak to po śniegu z gwiazdą chadzali. A była mowa i o wilkach i pańskich polowaniach, w których uczestniczyli i o ciężkich zimach, śniegach co chałupy bez mała po sam okap zasypywały. I tam różności wszelakie.

Po wieczerzy ksiądz kazał rozebrać stoły, ławy ustawić w szereg i zajął się sam przystrajaniem ołtarza przy ścianie. Zawieszono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który ksiądz wiózł na prezent wujowi; parę kobiet miało pasiaki i kilimy pod ręką; ubrano ścianę, sam ołtarz, wysłano podłogę; pięknym obrusem nakryto Stół Pański; znalazły się i świece woskowe poświęcane, co niektórzy wieźli, aby im przy skonaniu służyły, a światłością swoją do wiekuistej światłości prowadziły. Ksiądz ustawił swoje przybory.

Tymczasem ludzie rozsypali się po pokładzie, podziwiając spokój morza i piękno nocy.

Niebo prawie zupełnie się oczyściło, zasnuwały je tylko rzadkie i drobne chmurki, przez które przeglądał piękny księżyc. Na pokładzie widno było prawie jak w dzień. Na morzu skrzyła się szeroka smuga świetlna aż po sam horyzont, gdzie jasność rozlewała się jakby w jakie jezioro. Część kobiet i dzieci stłoczyła się pod oknami sali jadalnej pierwszej klasy gdzie widniała po środku spora choinka, upstrzona kolorowymi lampkami, złotymi i srebrnymi kulami i pasmami paciorków i srebrnych nici. Pasażerowie i oficerowie statku obsiedli kanapy pod ścianami i racząc się piwem wyśpiewywali jakieś burszowskie pieśni.

Wtem rozległ się głos dzwonu. Ktoś wprawnie bardzo naśladował dużym dzwonkiem używanym przez stewardów odgłos dzwonów kościelnych zwołujących wiernych do pańskiej świątyni. Ludziska powoli zaczęli schodzić się z całego pokładu

Błogosławiony Jan z Dukli.

W lipcu tego roku odbywają się w Dukli i we Lwowie, jako w miejscach urodzin i śmierci błogosławionego Jana, uroczystości jubileuszowe dla upamiętnienia dwóchsetnej rocznicy Jego beatyfikacji i pierwszej Mszy św. ku Jego czci odprawionej, w lipcu r. 1733. Nie od rzeczy przeto będzie poświęcić krótkie wspomnienie temu cichemu słudze i bohaterowi bożemu, mając na uwadze słowa księdza Skargi, wyrzeczone w przedmowie jego do Żywotów Świętych: *„Jeśli na niebo i gwiazdy i słońce tak piękne z rozkoszą patrzycie, jeśli ozdoby ziemi w górach i pagórkach, w zieloności i kwieciu i w rzekach i lasach i gajach ślicznych uciechę tobie miłą dają, jeśli na ptakach i śpiewaniu ich i piórkach pięknych i zwierzach rozmaitych oko chłodzicie, — jako patrząc na ludzkie serca ku Bogu zwrócone, nie macie uciechy doznawać“.*

W świątobliwym żywocie tym, tak wrośniętym w przyrodę Podkarpacia, wśród której urodził się i rozwijał bł. Jan, jest szczególnie wiele z tej poezji „gór, pagórków, rzek, lasów i gajów ślicznych“, do której Skarga przyrównuje „serca ludzkie ku Bogu zwrócone“. Wyczuła to ludowa wyobraźnia, najwrażliwsza na takie piękno, i na wiele lat przed urzędową beatyfikacją, oplotła żywot bł. Jana wieńcami samorzutnej czci i kwieciem cudnej legendy. Tak stał się ów święty, z ludu pochodzący i ludowi temu szczególnie bliski, bardziej od innych podobny do owych miejscowych „świątków“, którzy niegdyś dawali natchnienie domorosłym wiejskim scycerzom, a ostatnio objawili urok swojego stylu, niebłyskotliwy, ale głęboko swojski i wzruszający, poecie z tegoż ludu pochodzącemu — Emilowi Żygadłowiczowi.

Bł. Jan urodził się w r. 1414, w okresie gdy Polska wstępowała w okres rozkwitu swej potęgi materjalnej i umysłowej. Najskrupulatniejsze badania uczonych wykazać nie są w stanie, ile przyczynili się do rozkwitu tego, a potem, gdy przyszły złe czasy, do jego ratowania, prostaczkowie boży tacy jak bł. Jan z Dukli, pracujący niewidocznie, w głębokiej pokorze, w tajnikach kształtującego się wówczas ducha narodowego, szczepiący na pniu ludowym, z którego wyrośli, latorośle największych cnót chrześcijańskich.

Żywot bł. Jana nie słynie głośnemi, bohaterskiemi czynami, ani męczeństwem za wiarę, ani wymową serca porywającą, ale za to obfituje w epizody malownicze, pełne pouczającej, wzruszającej treści. Mieści się w nich jak gdyby wyraziste upomnienie świętego jakich, najpowszechniejszych u nas, błędów strzedz się należy, jakich cnót, najpotrzebniejszych nam i najrzadszych, szukać mamy.

Dzieciństwo jego upłynęło w rodzinnem miasteczku, położonem w górach, na pograniczu węgierskiem, przy ważnym szlaku łączącym wówczas Polskę z południem. Służył rodzicom swym, ubogim i pracowitym, i pobierał początki nauk w miejscowej szkółce parafjalnej. Widząc zdolności jego i zadatki cnót, proboszcz dukielski

---

do kupy. Część zawczasu obsiadła ławy w przeobrażonej na kaplicę hali, część wyczekiwała rozpoczęcia nabożeństwa na pokładzie. Aż wreszcie zabrzmiał ostry i zmieszany głos sygnaturki. Ruszyli wszyscy ławą. Ksiądz rozpoczynał nabożeństwo. Z boku rozległo się kilkakrotne uderzenie w skrzypki. Jakiś „Janko Muzykant“ wioskowy, odnaleziony w grupie wychodźców przez księdza, jękliwym ale mocnym głosem swych lipowych skrzypek zaintonował odwieczną pieśń wigilijną polską, którą zaraz że pochwyciły kobiety. Zawtórowali im mężczyźni.

Pod niski strop międzypokładu, w otwarte okna iluminatorów uderzyły słowa proste, ale wymowne i serdeczne, owiane głęboką wiarą i zarem poezji ludowej.

— W żłobie leży, Któż pobieży kolendować małemu, Jezusowi Chrystusowi, dziś nam narodzonemu!...

Po pierwszej kolendzie popłynęła druga. Skrzypki prowadziły melodję, ludziska dobywali głosów z głębi nabrzmiałych tęsknotą piersi, a mocy dodawały im rozgorzałe serca.

W trakcie nabożeństwa nadeszło kilku pasażerów pierwszej klasy z kapitanem i paru oficerami na czele. Weszli dość buńczucznie, chcieli zobaczyć jak ci biedacy modlą się i posłuchać jak śpiewają. Po kilku minutach siła ekstazy, która biła z tej garści rozmodlonych ludzi, ta żywa wiara, którą widocznie przejęci byli do głębi, ten śpiew gorący i głęboki, który w niczem nie przypominał śpiewanych w ich zborach psalmów, onieśmielił te pyszne i zimne dusze, uczuli bezwiednie, że nie jest to widowisko, że odbywa się tu misterjum i że są tu obcy i niepotrzebni, zaczęli się też wycofywać powoli. Byli już we drzwiach, gdy rozległy się tony najsilniejszej i bodaj najpiękniejszej, a najbardziej polskiej kolendy. Jak by nowe siły wstąpiły w rozmodlony tłum; głosy nabrały świeżości, nawet skrzypki głębszego tonu i wyrazistości.

— Bóg się rodzi, moc truchleje!... potężnym akordem uderzyło w powietrze.

Niemcy stanęli. Piękny ten hymn zrobił na nich wrażenie, z widocznem wzruszeniem wysłuchali go do końca.

wyprawił go do akademji krakowskiej, która słynęła wówczas nauką znakomitych swoich profesorów. Tam uczył się młody Jan pod kierunkiem Jana Kantego, w przyszłości świętego i patrona młodzieży krakowskiej, a już wtedy najlepszego jej opiekuna i nauczyciela. Aczkolwiek młodzieniec, słuchając pilnie wykładów, zdobywa niebawem pierwsze zaszczytne stopnie naukowe, droga mądrości świeckiej o wiele mniejszy ma dla niego urok niż stroma ścieżka doskonałości bożej. Jan Kanty pochwala dojrzewający w duszy jego zamiar całkowitego poświęcenia się Bogu, doradza mu jednak wprzód sił wypróbować i do rodziców powrócić.

Tu następuje chwila przełomowa, która zaważyła nad całem dalszem życiem młodzieńca. Bliższych szczegółów nam brak — nie wiemy dlaczego bł. Jan nie powrócił do domu rodzicielskiego — czy dlatego że nie mógł go odszukać wśród zgliszcz miasteczka zniszczonego przez przechody wojsk, jak chcą jedni, czy dlatego, że głos wewnętrzny, nadprzyrodzony, nakazał mu oddać się Bogu całkowicie, bez podziału, jak twierdzą inni. Dość że młody 23-letni student udał się na puszczę, rozciągającą się w okolicach Dukli, na lesistych stokach góry Cergowej, i tam rozpoczął życie pustelnicze, obcując z Bogiem w samotności, wśród umartwień, w ciszy i skupieniu ducha. Tak więc, na tym pierwszym szczeblu drogi swej ku wyżynom swiętości, zostawił bł. Jan przykład zwycięskiej walki z rozdwojeniem, z połowniczością życia wewnętrznego. Ludowa legenda głosi, że gdy tak żył, o głodzie i chłodzie, modląc się przed kapliczką, którą zbudował na drzewie rosnącem na skale Split, odczuł pewnego razu niepowstrzymaną tęsknotę za domem rodzicielskim. Zstąpił więc z gór i stanął w progu swej chaty, prosząc pokornie o kawałek chleba. Matka jego, zajęta właśnie pieczeniem chleba, a widocznie często przez żebraków napastowana, nie poznała go i ofuknęła gniewnie. Pustelnik cofnął się, urażony, skreśliwszy kredą na drzwiach domu słowa pełne gorzkiego bólu: „On pragnął się ucieszyć serc wzajemnych mową, a usłyszał z ust drogich tylko twarde słowo". Czy w fakcie tym nie mieści się ostrzeżenie, dla popędliwych umysłów polskich szczególnie potrzebne, aby nie poddawać się rozdrażnieniu i nie odmawiać, dla zmiennych nastrojów, serdecznego oddźwięku tym, którzy tego od nas oczekują?

Gdy bł. Jan powrócił do swej samotni, pożegnawszy się na zawsze z szczęściem rodzinnem, utrapieniem jego największem nie były niewygody ,twarde łoże skalne i pożywienie z owoców leśnych wyłącznie się składające — bolały go najbardziej szyderstwa i zniewagi pastuszków, którzy potrącali go, ubogą odzież jego darli, spokoju mu nie dając. Postępowanie to, tak przypominające powszechne do dnia dzisiejszego traktowanie mężów wznoszących się ponad przeciętność, zmusiło bł. Jana do szukania innego schronienia. Znalazł je w niedostępnym lesie, opodal wsi Trzcian. Istnieje tam dotychczas źródło przedziwnej wody, na które natrafił kopiąc studnię. Dzięki jego zasługom ludzie mocnej wiary czerpią tam cudowną pomoc i zdrowie.

Trzy lata trwał pobyt bł. Jana w górach. Gdy przeszedł czas potrzebny dla uformowania i dojrzenia cnót, któremi jaśnieć miał w przyszłości, odnajduje go w pustelni skalnej mistrz młodości jego, św. Jan Kanty, dą-

---

W dwa dni potem parowiec rzucił kotwicę na redzie Tagu pod Lizboną. Po wizycie lekarza weszli na pokład przedstawiciele policji, komory celnej, wreszcie ajent kompanji.

Między innymi przywiózł on korespondencję dla załogi i pasażerów; była tam i depesza dla księdza Teodora. Rozerwał ją ze zdziwieniem. Proboszcz ze Śląska zawiadamiał go o śmierci wuja w Brazylji; od siebie dodawał, że liczy na powrót ks. Teodora do kraju.

Wiadomość ta, która nie była wprawdzie niespodzianką, uderzyła w biednego księżyka jak grom. Zżył się na parowcu z tą garścią ludzi, zaczął przyzwyczajać się do myśli o nowej pracy i nowych obowiązkach i naraz staje na rozdrożu. Nic nie ciągnęło go dawniej za morze, w te strony nieznane i dzikie i gdyby nie posłuszeństwo, które winien był wujowi, nigdyby nie opóścił kraju i rozpoczętej tam pracy. Utracił jedynego bliskiego człowieka, którego miał na świecie, a z nim i jedyną słuszną rację do porzucenia Ojczyzny.

Depesza doszła rąk ks. Teodora na dolnym pokładzie, skąd przyglądał się panoramie miasta i wizytom władz portowych, otoczony garścią wychodźców. Nie uszło ich uwagi i doręczenie depeszy i głęboka zaduma na czole ich opiekuna. Nie śmieli zapytać co się stało, przeczuli jakby że sprawa i ich dotyczy, w milczeniu spoglądali na księdza, a oczy ich i twarze wyrażały niekłamany niepokój. Ksiądz spojrzał na nich, coś jakby żal ścisnął go za serce. Złożył depeszę i szybko udał się do swojej kabiny. Rzucił się na kolana przed obrazem, gdzie zwykle szukał spokoju i natchnienia. Gorąca modlitwa pokrzepiła go. Niewiele miał czasu na rozmyślania, parowiec opuszczał port przed nocą. Bolesna wiadomość o śmierci wuja zwalniała go z obowiązku dalszej podróży, proboszcz na Śląsku wzywał go z powrotem na opuszczony posterunek. Jak ma postąpić? Brazylja go nie nęciła; przymknął oczy. Stanęły mu w pamięci stroskane twarze tych cudem jakimś spotkanych rodaków. Co im powie, jak wytłomaczy swoją ucieczkę? Co się stanie z tą poczciwą garstką włościan, jeśli ich wyda na pastwę losu, złych lub głupich ludzi? Czyż nie jest to wyraźny palec Boży, który go, niegodnego sługę, na drodze tamtych postawił. Jeśli zapomną

żący do Rzymu, i napomina go, że pora już, aby lud korzystać zaczął ze skarbów wewnętrznych nagromadzonych w samotnem obcowaniu z Bogiem.

Były to czasy, gdy Polska, długo trapiona wojnami, zaczynała umacniać swe panowanie na niedawno przyłączonych ziemiach ruskich. Tameczni mieszkańcy, wyniszczeni napadami, zarazą morową i niepewnością losów, potrzebowali apostołów głoszących pokój i miłość. Przez trzy dni św. Jan Kanty przebywał w gościnie u swego ucznia, widocznie czas trawiąc na przekonywaniu go o potrzebie oddania się temu dziełu. Potem zeszli obaj razem z gór, św. Jan Kanty podążył do Rzymu, bł. Jan zaś udał się do klasztoru Franciszkanów w Sączu, i tam przyjęty do zakonu, niebawem odesłany został do Lwowa dla odbycia nowicjatu.

Życie zakonne okazało się właściwem jego powołaniem. Nie tu miejsce na opowiadanie o głębokich wewnętrznych przeżyciach i przemianach duchowych, których zapewne drobna tylko cząstka może być oczom ludzkim odsłoniona. Ale uderzyć nas musi jeden rys, ujawniający się najsilniej, jakby naprzekór zakorzenionym przywarom krajowym, a mianowicie umiłowanie posłuszeństwa, wyraźna niechęć wywyższania się. Tylko pod nakazem woli swych przełożonych przymuszał się bł. Jan do pełnienia obowiązków gwardjana franciszkańskich klasztorów i po upływie wyznaczonego czasu wracał z radością do skromnej roli zwykłego zakonnika-kapłana.

I znowu legenda przekazała nam ów rys jego charakteru, jednocześnie piętnując bezmyślne używanie władzy, tak częste u zwierzchników. Gdy pewnego ranka w klasztorze krośnieńskim bł. Jan, ubrany w ornat, ze zwykłą pokorą zapytał przełożonego gdzie ma pójść mszę św. odprawić, oczekując wskazania ołtarza, otrzymał niecierpliwą odpowiedź jakby szydzącą ze zbytniej uległości: „do Lwowa!“ Wypełniając obowiązek bezwarunkowego posłuszeństwa, udał się bł. Jan z kielichem w ręku, w kościelnych szatach, na drogę do Lwowa wiodącą, a doszedłszy do pobliskiej Kamborni, zanurzył twarz uznojoną w źródełku, które dotychczas słynie z własności uzdrawiających. Nie śmiał gasić pragnienia przed odprawieniem mszy św. Resztę drogi odbył, jak głosi legenda, na skrzydłach anielskich. Ujrzeli go, lecącego nad Prałkowicami i błogosławiącego im z góry, włościanie ruscy, mieszkańcy tej wsi, pracujący w polu. I tak święty ten, który mógłby stać się patronem lotników i kto wie — może nim będzie — w chwil kilka przebył w przestworzach odległość między Krosnem i Lwowem i tam, złożony u proga franciszkańskiego klasztoru, mszę św. odprawił.

Służąc kolejno w różnych klasztorach swego zakonu, miał bł. Jan sposobność widzieć w r. 1453 w Krakowie jak uroczyście był witany przez króla, duchownych, lud i rycerstwo św. Jan Kapistran, wielki reformator zakonu franciszkańskiego, założyciel ostrzejszej reguły Bernardynów. Uderzony jego wymową, pragnął bł. Jan przejść do tej reguły, ale dopiero po latach 17-tu uzyskał z trudem pozwolenie przełożonego. Biografowie jego opowiadają, że gdy modlił się przed obrazem Matki Boskiej w rozterce ducha, prosząc o światło wewnętrzne, Najświętsza Panna objawiła mu bożą wolę, czem umocniony pozwolenie wyprosił.

Boga i języka ojców, on poniesie za to odpowiedzialność. Ks. Teodor wstał z determinacją w siwych oczach. Nie może się wahać. Spotkał to stadko, które z takim zaufaniem garnie się do niego, będzie jego pasterzem i nadal. Skreślił kilka słów podzięki i wytłomaczenia do swego proboszcza, zakleił kopertę i wyszedł rzeźki jak nigdy na górę, aby list wręczyć ajentowi.

Wiadomość o depeszy rozeszła się już między naszymi ludźmi; stłoczyli się przy schodach, któremi musiał ks. Teodor zejść na niższy pokład. Pełno było domysłów i obaw, to też odetchnęli z ulgą, gdy go zobaczyli wracającego z jasnem obliczem i podniesioną głową.

— Dostałem smutną wiadomość o śmierci wuja, proboszcza w Brazylji, mnie zaś mój proboszcz wzywa z powrotem...

Grom z jasnego nieba nie wywołałby takiego wrażenia na naszych wychodźców jak te nieoczekiwane słowa. Ludzie, jakimś odruchem wiedzeni rzucili się do księdza, otaczając go zwartym pierścieniem.

— Księże dobrodzieju, księżyku nasz, nie gardź, nie opuszczaj! Do skonania będziemy wierni i wdzięczni. — Część rzuciła mu się do kolan, kobiety zaczęły zawodzić.

— Sieroty my, jak te wędrowne ptaki, ani to gniazda ani to spokoju.

Najbliżsi całowali księdzu ręce. Zaledwo udało mu się wyrwać i dojść do głosu.

— Mili bracia! — rzekł, gdy uciszyli się trochę, — nie daliście mi dokończyć. Właśnie poszedłem uprosić Najświętszą Panienkę o dobrą radę, a potem naradziłem się ze swojem sumieniem i postanowiłem jechać do Brazylji. Boskiem zrządzeniem losu spotkaliśmy się na tym statku. Jego widocznie wolą było abym wam przewodniczył: poddaję się Jego woli ale nakłada ona i na was obowiązki.

Jedziemy w daleki świat do nieznanej ziemi i między nieznanych i obcych ludzi. Wierni Bogu i Jego najświęszym przykazaniom, pamiętać musimy co winniśmy tej Ojczyźnie, która nas wydała, którą z bólem i tęsknotą musieliśmy porzucić. Będą na nas patrzeć obcy, a może i swoi, mniej szczęśliwi od nas. Życie i praca nasza powinny być takie,

Zakon Bernardynów wyróżniał się wówczas nietylko ścisłem obserwowaniem przepisów reguły, ale również duchem prawdziwie apostolskim. Oni pierwsi, chcąc lud pociągnąć do udziału w modłach, wprowadzili do kościołów śpiewy polskie. W czasie zarazy morowej ratowali chorych z takiem poświęceniem, że — jak się to zdarzyło w Krakowie — wymierali masowo, zarażeni straszną chorobą. Gorliwość ich w nawracaniu innowierców ściągała na nich prześladowanie. Rola ich szczególnie doniosła była we Lwowie, w którym przeważała wówczas ludność obrządku greckiego.

Wstąpienie do Bernardynów dodało bł. Janowi, podeszłemu już w latach, świeżych sił i młodzieńczego zapału. Niestrudzony w pełnieniu obowiązków kapłańskich, ojciec sierót, opiekun krzywdzonych, nauczyciel słowa bożego, wzbudzał powszechną miłość i podziw. Lwów był głównem polem jego działalnia, ale i w innych miastach polskich — w Krakowie, w Wielkopolsce, pozostawił ślady swoich prac. Ulubionem jego zadaniem było nawracanie inowierców. Traktował ich z wielką miłością, łagodnie i delikatnie, odwiedzał w domach, gromadził, przekonywał. W ten sposób podobno tysiące ludu przeprowadził na łono kościoła katolickiego. To też lud lwowski nazwał go apostołem schyzmatyków.

Zasłużył na inne jeszcze zaszczytne miano. W tym czasie, pomimo potęgi Rzeczypospolitej, Lwów podobnie jak inne miasta kresowe, nie przestawał być narażony na napady Tatarów. W r. 1474 oblegli go wielkiemi siłami i uderzywszy na warowny kościół bernardyński, wówczas drewniany, z tej strony chcieli wedrzeć się do miasta. Bł. Jan z Dukli, który był wtedy przełożonym klasztoru wyszedł z Najświętszym Sakramentem na wały, podobnie jak uczynił to w parę wieków później O. Kordecki na Jasnej Górze i błogosławił walczących. Pokrzepieni tem oblężeni uderzyli na wrogów i zwyciężyli. Wówczas mieszczanie lwowscy nazwali tego cichego zakonnika gromem na bisurmanów.

Długie pasmo dobrych czynów rozsławiło imię jego we Lwowie. Mnożyły się objawy czci i uwielbienia. Ale bł. Jan chronił się przed publicznemi hołdami. Obawiał się przebłysków pychy, nie chciał utracić ducha pokory. Niebawem niebezpieczeństwo to istnieć przestało. Starzec wzrok utracił i oddawane mu oznaki czci nie dochodziły do jego świadomości. Mówią, że wzrok ducha bł. Jana zyskał wówczas na sile, że często w czasie modlitwy wpadał w ekstazę, że ukazywała mu się wtedy Najświętsza Panna z Dzieciątkiem na ręku. Jednocześnie słabły siły jego fizyczne, strudzone i poranione nogi odmawiały posłuszeństwa. Dnia 29 września 1484 roku świat ten opuścił, Bogu duszę oddając.

Obrońcą ludu polskiego, a w szczególności Lwowa i po śmierci być nie przestał. W r. 1509 obronił go przed Bohdanem hospodarzem multańskim, w r. 1648 ukazał się, jak głosi legenda, uwieczniona w obrazie Matejki, zatrwożonym oczom Bohdana Chmielnickiego i Tuchaj Beja, odbierając im impet zwycięski, a oblężonym mieszczanom otuchy dodając. W r. 1655 znowu Lwów obronił przed tatarskim napadem. W r. 1721 za jego przyczyną ustała zaraza morowa dziesiątkująca ludność.

W rok po odparciu Chmielnickiego, wdzięczny lud lwowski złożył na jego grobie srebrną tablicę, mianując

---

ażeby imię Polaka świeciło przykładem, ażeby było wzorem, niewolno nam nic stracić z tej wielkiej spuścizny, którąśmy po przodkach odziedziczyli. Przykładem niech nam świecą wielcy bohaterowie Polski. Z serc naszych wyplenimy zawiść, złość, pychę i próżniactwo, żyć musimy jak jedna wielka rodzina w miłości i poszanowaniu wzajemnem. Pamiętajcie, że Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy, ziszczą się przepowiednie naszych proroków i wieszczy, powstanie w blasku i potędze nasza umiłowana Ojczyzna, a wtedy będziemy musieli zdać sprawę z tego cośmy z jej imieniem i dla niej zrobili.

Ksiądz Teodor wyciągnął ręce na wschód; zamilkł na chwilę; a cała rzesza wychodźcza poszła oczyma za jego wzrokiem.

W proroczem objawieniu, przejęty chwilą, z oczyma utkwionemi w gwiązdę wieczorną, która w tej chwili zabłysła wysoko nad horyzontem, mówił dalej:

— Widzę zgiełk i tumult wojenny, łopoczące sztandary, orzeł biały powiewa w pierwszych szeregach, dzień wyzwolenia jest bliski. Polska powstaje. Widzę jej grody i jej świątynie, jej łany szumiące zbożem, jej lasy zielone; polskie morze, długi las masztów, śmigłe okręty, a nad niemi...

Panie, nie jestem godzien...

Ksiądz Teodor uderzył się po trzykroć w piersi.

— ...A nad niemi... — szlochem buchnęło mu z piersi — a nad niemi.... Polska bandera!

Wielkim szlochem odpowiedzieli mu stłoczeni przy nim wychodźcy.

Ksiądz już padł na kolana, za jego przykładem poszli wszyscy.

— Boże coś Polskę przez tak długie wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały...

Spiżowy hymn uderzył w ciemniejący strop pogodnego nieba.

Jakby w odpowiedzi, we wszystkich kościołach Lizbony odezwały się dzwony na Anioł Pański. Lekki wiaterek niósł dźwięki kojące i czyste, jak czyste były w tej chwili dusze i serca tej garści wędrowców polskich, których unosił już w szarą dal, z biegiem żółtych wód obcej rzeki, obcy parowiec, pod obcą banderą.

go — jak głosi napis — „za wyratowanie ognisk domowych z rąk nieprzyjacielskich... pierwszym naczelnikiem straży miejskiej".

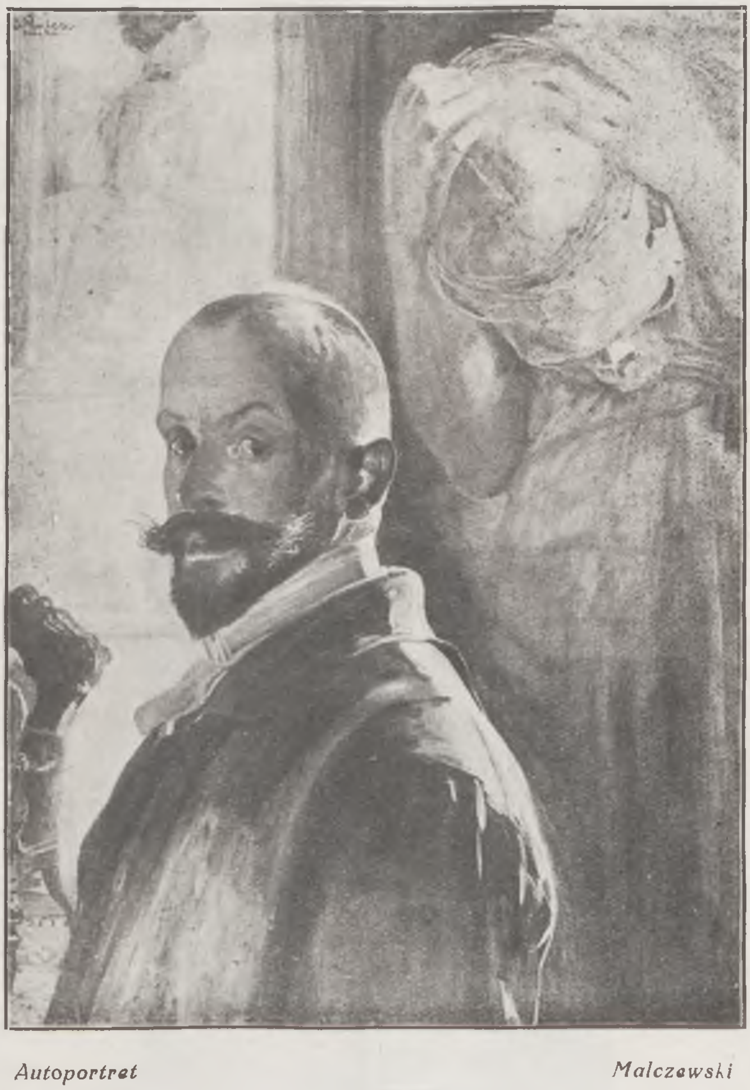
Bartłomiej Żimorowicz, uczestnik, a później dziejopis obrony Lwowa, tak się w dziele swem o bł. Janie z Dukli odzywa:

„Tyś sam nadzieją dla bram miasta! Nad niemi przeciw Porcie Ottomańskiej ustawiczną straż trzymasz. Nietylko nieprzyjacielskie napady, lecz i grozę zarazy od nich oddalasz. Ilekroć napad turecki, hordy tatarskie, nawała moskiewska, kurzawa mołdawska, bunty kozackie Lwowowi zalewem groziły, ilekroć okoliczne ziemie płonęły pożogą wojny i płomienną obręczą okoliły miasto, zawsze ono pod Twym puklerzem nietknięte pozostało i cało z niebezpieczeństwa wyszło. Słusznie więc na grobie Twoim królowie berła, hetmani buławy, zwycięzcy sztandary, konsulowie laski, nowożeńcy wieńce, słabi swą niemoc, a zdrowi swe dary składają'

Mówiąc o hołdach królewskich miał na myśli Zimorowicz modły i ofiary składane na grobie świętego przez Zygmunta III i Jana Kazimierza. Odwiedzali również grób jego, modląc się żarliwie, król Michał Wiśniowiecki z żoną i kilkakrotnie Jan Sobieski.

Cześć pośmiertna bł. Jana rozkrzewiała się coraz bardziej. Nie poprzestając na beatyfikacji, zaniesiono do Stolicy Apostolskiej prośbę o ogłoszenie go Patronem Polski i Litwy, co uzyskano w r. 1739. Rozpoczęty proces kanonizacji był już bliski pomyślnego zakończenia, gdy nastał pierwszy rozbiór Polski. Sprawa odwlekła się wówczas wskutek zaprzestania starań. Mówią obecnie o jej wznowieniu.

Lud zaś czcił go zawsze jak świętego i tak czyni dotychczas, odczuwając skutki nadprzyrodzonej jego interwencji.



Autoportret *Malczewski*

BOGARODZICA

...Nigdym ja ciebie, ludu nie rzuciła,
Nigdym ci mego nie odjęła lica,
Ja — po dawnemu — moc twoja i siła.
Lud: *Bogarodzica...*
Rzeszom twym dzisiaj skroś zmierzchów hetmanię
Jako zaranię.

Przed tobą idę i przy tobie stoję,
Z bojowem hasłem, z piór orlich szelestem,
A kiedy ducha bierzesz na pierś zbroję,
Tarczą ci jestem...
W klęsce nawet w blask odziewam złoty
Poległe roty.

Żołnierze sąście zawołania mego
I mej chorągwi towarzysze wierne,
A poprzez wieki rubieży mych strzegą
Duchy pancerne...
Żołnierze sąście, sąście kość orłowa
Rycerzy słowa.

A ja was wiodę i stawiam, gdzie trwoga,
Przez sioła, grody a przez ziemie rolne,
I tak sprawuję zdane mi przez Boga
Hetmaństwo polne...
Od mej buławy idzie rozkazanie
Szumem po łanie.

A ja was wiodę, niewiasty i męże,
Na mury fortec i za twierdzy bramy,
Bo choć dziś inne bronie i oręże,
Lecz bój ten samy...
A przebojowan być musi i będzie
W mojej komendzie!

Ten tylko bowiem lud upada w cienie,
Który sam sobie nie dochował wiary —
Temu, co stracił sztandaru widzenie,
Na nic — sztandary.
Mocnym i wiernym duchom ja hetmanię,
Jako w zaranie!

A wy się czujcie nie jak luza marna,
Co krzykiem trwogi przed bojem wybucha,
Lecz jako zwarta chorągiew i karna
Na żołdzie ducha...
I jak rycerstwo, któremu hetmani
Niebieska Pani.

Tak odnowione jest zaprzysiężenie
Hetmaństwa mego i rycerskiej wiary,
A wy zatknijcie nad groby i cienie
Światła sztandary...
Scheda wy moja i moja dzielnica...

Lud: *Bogarodzica...*

MARJA KONOPNICKA.



LEW SAPIEHA

(ur. 1557 + 1633 r.)

Rok bieżący jest szczególnie bogaty w rocznice związane z życiem mężów zasłużonych i sławnych. Jest-to zwykle sposobność przypomnienia historycznych wydarzeń i wielkich czynów przez czas zamglonych. W Wieściach z Polski rocznic tych pilnujemy, chcąc ułatwić czytelnikom naszym zagranicznym udział w ich obchodzeniu, chociażby tylko przez zjednoczenie się z nami we wspólnej pamięci. Wiemy bowiem jak żywo obchodzi ich przeszłość Polski, ile dumy i radości czerpią z minionej sławy, której są dziedzicami. W tej myśli chcemy wspomnienia ich wzbogacić kilku rysami z życia wybitnej i niezmiernie typowej postaci wielkiego kanclerza i hetmana litewskiego, Lwa Sapiehy, którego trzechsetletnia rocznica zgonu przypada w lipcu.

Ród Sapiehów, od wielkiego księcia litewskiego Gedymina się wywodzący, był od czasów Jagiełły gorliwym rzecznikiem zbliżenia Litwy do Polski. Dał temu wyraz przyjmując na Unji horodelskiej, na znak braterstwa z polskiem rycerstwem, polski znak rodowy, Lis. Lew Sapieha przez tradycje rodzinne i wychowanie tkwił korzeniami w wielkiem dziele połączenia obu krajów na zasadzie równych a odrębnych praw i przywilejów. Na umyśle jego wycisnęły niezatarte piętno pierwsze lata służby państwowej spędzone w otoczeniu wielkiego króla Batorego,wśród mężów tej miary co kanclerz Jan Zamoyski. Król widział w młodzieńcu zadatki przyszłej wielkości i do ważnych spraw go używał. W r. 1584, gdy miał zaledwie lat 27, wysłany został Sapieha do Moskwy z ważną misją wybadania sytuacji wewnętrznej w tym kraju, po odniesionych przez oręż nasz zwycięstwach. Cenne informacje młodego posła posłużyły Batoremu jako podstawa do jego genjalnych planów, przez papieża Sykstusa V gorąco popieranych, które nadałyby może inny obrót losom Europy Wschodniej, gdyby śmierć przedwczesna króla ich nie przerwała. Sapieha niewątpliwie był w nie wtajemniczony.

Gdy w kilkanaście lat później, w r. 1600 odbywał swoje świetne poselstwo do Moskwy, plan wiecznego przymierza, który przedstawia carowi, nosi wyraźne znamiona wielkiej myśli politycznej Jagiellonów i Batorego. Był to właściwie projekt zjednoczenia obu państw w jeden organizm polityczny, zdolny dać odpór głównemu wrogowi chrześcijaństwa — Turkom. Oba państwa miały wspólnie decydować o polityce zewnętrznej, utrzymywać wspólnym kosztem flotę na Bałtyku, względnie na Morzu Czarnem. W razie bezpotomnej śmierci jednego z władców, dziedziczyłby po nim władca drugiego państwa. Idea ta, której głównymi wyrazicielami byli Zamoyski i Sapieha była popularna wśród szlachty, jako dalszy ciąg unji polsko-litewskiej i zabezpieczenie przed zaborczością Moskwy. W razie realizacji doprowadziłoby prawdopodobnie do usunięcia Tatarów z brzegów Czarnego Morza i do zniszczenia niebezpieczeństwa tureckiego na parę wieków wcześniej pod egidą Polski. Otworzyłoby to niezmierzone tereny dla ekspansji i przedsiębiorczości polskiej.



Lew Sapieha

Sapieha nie szczędził kosztów, aby tak ważne swoje poselstwo sprawować z największą okazałością. Obyczajem ówczesnym utrzymywał świtę złożoną z kilkuset ludzi, przychylność cara i jego otoczenia usiłował zjednać wspaniałemi podarkami. 14-miesięczne jego rokowania nie doprowadziły wprawdzie do zawarcia wieczystego przymierza na warunkach przedstawionych. Moskwa obawiała się bowiem wówczas tego wciągnięcia w orbitę państw zachodnich i przewagi wpływów polskich. Wszakże uzyskano dość korzystne warunki pokoju, ubezpieczającego na czas jakiś Rzeczpospolitą od wschodniej ściany.

Jako doświadczony, wytrawny polityk był Sapieha przeciwny awanturniczej wyprawie Dymitra Samozwańca na tron moskiewski przy udziale panów polskich. Bierze jednak udział poważny w wynikłej stąd wojnie, pożycza ze swej szkatuły kilkaset tysięcy złotych dla wypłacenia załegłego żołdu wojskom oblegającym Smoleńsk, staje przy boku królewicza Władysława jako doradca i przyczynia się do zawarcia w r. 1619 rozejmu w Dywilinie zapewniającego Polsce zwrot ziem przed laty utraconych — województw smoleńskiego, nowogrodzkiego, czernichowskiego.

Nietylko jako dyplomata ale również jako wojownik oddał Sapieha krajowi niepospolite usługi. Odznaczył się już za Batorego przy zdobywaniu zamków moskiewskich, a w r. 1622 i 1625 dwukrotnie Litwę przed Szwedami osłonił, za co otrzymał tytuł wojewody wileńskieg i wielką buławę hetmańską.

Imię Lwa Sapiehy wiązane jest ściśle z niezmiernie ważnemi aktami prawodawczemi.—Jego dziełem jest organizacja sądów na Litwie na wzór organizacji przeprowadzonej w Koronie kilka lat wcześniej. Największą jego chlubą było ułożenie Statutu Litewskiego czyli zbioru praw na Litwie obowiązujących. Ten wspaniały pomnik prawodawstwa, który nie stracił swego znaczenia nawet po rozbiorach Polski, opracowany został przez najoświeceńszych wówczas prawników pod kierunkiem wielkiego kanclerza Sapiehy, który przedstawił go królowi do zatwierdzenia w r. 1588 i kosztem własnym drukiem ogłosił. Na współczesnym portrecie widzimy go ze zwojem pergaminu w ręku, jako symbolem zasług na tem polu.

Antoni Prochaska w przedmowie swej do „Archiwum Domu Sapiehów" nazywa Lwa Sapiehę obrazem ówczesnej Litwy. Trzeźwo patrzący, ostrożny polityk, gorliwy i niestrudzony w urzędowaniu swem kanclerskiem, energiczny i stanowczy w wypełnianiu powierzonych adań, przenikliwy znawca ludzi, śmiało wypowiada swoje zarzuty w stosunku nawet do możniejszych od siebie. Szlachetną ambicją wiedziony, dla potrzeby krajowej, nie waha się nadstawiać własnej fortuny. Broni z uporem przysługujących Litwie przywilejów obsadzenia urzędów krajowcami. Dzielił niektóre przywary ówczesnej epoki. Nie obce mu są pewne urazy i pewne zawiści. Wykształconemu w wielkiej szkole Batorego boleśnie było widzieć jak małostkowy upór Zygmunta III niweczył najszlachetniejsze zamiary. Dwa rysy w charakterze jego są niezwruszone i górują nad innemi: zachowanie wierności zaprzysiężonej królowi i gorliwa pobożność. Podobnie jak wielu ówczesnych panów polskich, był w młodości swej kalwinem, co przy ówczesnej tolerancji nie przeszkadzało mu piastować wysokich urzędów. W wieku dojrzałym, pod wpływem nauk księdza Piotra Skargi, przeszedł na katolicyzm a uczyniwszy to ze szczerego przekonania, starał się odtąd rozkrzewiać wiarą katolicką na Litwie, nie żałując kosztów. Biograf jego, ks. Kognowicki, twierdzi, że prócz króla Jagiełły nikt mu nie dorównał w liczbie kościołów i klasztorów, własnym sumptem ufundowanych i hojnych darów składanych na religijne cele. Natomiast fanatyzm obcy mu był zupełnie. Jeżeli rozruchy wszczęte na tle religijnem przez inowierców miały charakter buntu przeciw władzy królewskiej — jak to miało miejsce w Rydze w r. 1590 — wymierzał sprawiedliwość z wielkiem wszakże umiarkowaniem. Przy zaprowadzaniu Unji obrządku wschodniego z katolicyzmem, czemu szczerze współdziałał, doradzał jak największą rozwagę i ostrożność. Ale gdy mieszczanie witebscy, przeciwni Unji, dopuścili się zabójstwa arcybiskupa Józefa Kuncewicza nałożył na winnych surowe kary, wolne jednak od okrucieństwa.

Zachowały się liczne listy pisane do niego przez papieża, przez króla Zygmunta III i wielu dostojników duchownych, w których zwracają się do niego jako do ostoi religji w różnych sprawach. Gdy w r. 1602 odbyła się w Wilnie wspaniała uroczystość religijna związana z dokonaną wówczas kanonizacją św. Kazimierza, Lew Sapieha miał zaszczyt reprezentować osobę królewską przy przyjęciu z rąk legata rzymskiego chorągwi z wyobrażeniem Świętego. Wystąpił w niej z okazałością i dostojeństwem, a jak dalece był powierzonem zadaniem przejęty, świadczy dedykowany Królowi drukowany opis uroczystości, w którym oświadcza, że „rzecz ta jak dla Królewsko-Namiestniczej posługi nader wspaniała, tak dla świętości sprawy dziwnie mi miła wydarzyła się".

Dla pełniejszego uwydatnienia tej wyrazistej postaci należy powiedzieć o jego ludzkim, życzliwym stosunku do poddanych mu włościan. Dbał podobno — rzecz tak wówczas rzadka — o ich oświatę i szkółki parafjalne po dobrach swoich zakładał. Pogląd jego na stosunek dziedzica do chłopów był niezmiernie zdrowy i trzeźwy: „U was chłop chłopem, upominał swych administratorów, a u mnie Wielmożnym i Jaśnie Wielmożnym, bo kiedy ja chłopa mieć nie będę, pewnie Jaśnie Wielmożnym nie będę".

Ucisk włościan zapalał w nim płomienie gniewu. Za przymuszanie ich do nadmiernych ciężarów, nieprzewidzianych w inwentarzu, który był czemś w rodzaju kontraktu wiążącego moralnie dziedzica, taki ostry monit wypalił jednemu ze swych ekonomów: „Pogotowie moje (było to jego przysłowie), wiesz to dobrze dawno, że ja poddane swe chowam według ich powinności, a nad powinność ich nie rad nic wymyślam i urzęnikom nie pozwalam, a jeśli wymyślają, gniewam się o to... po dwakroć poddane gwałtem prawie do Zamościa po sol wyganiasz i inszych rzeczy siła, co do ustnego mówienia odkładam... A co piszesz o swej niewinności i żem surowo do Ciebie pisał. przebóg, kamienne serce poruszyćby musiały takie skargi poddanych. Tedy nic potem żebyś teraz do mnie jeździł i poddanych z sobą brał, niepotrzebniebyś to uczynił".

Według świadectwa współczesnych stał się kanclerz pod koniec życia zgryźliwym, uszczypliwym, słowa jego zabarwione były pesymizmem. To samo zarzucają zresztą innym wybitnym mężom tych czasów — Chodkiewiczowi, Żółkiewskiemu. Nie dziw, że ludzie ci, wychowani w świetnej epoce Jagiellonów i Batorego, patrzyli z trwogą na przyszłość kraju, otoczonego zewsząd wzrastającemi potęgami, a rozdartego na wewnątrz przez ustawiczne niepokoje, będące wynikiem wadliwego ustroju. Rzec można ze z Lwem Sapiehą schodzi do grobu na długie wieki typ polskiego męża stanu wielkiego stylu, ogarniającego szerokim polotem myśli zagadnienia dalsze i większe niż potrzeby chwili bieżącej,

a jednocześnie wykorzystującego umiejętnie każdą sposobność dla powiększenia Rzeczypospolitej. W następnych pokoleniach mamy jeszcze wielu świetnych wodzów i zdolnych dyplomatów, ale tradycja wielkiej polityki jagielońskiej ginie szybko w kraju wiecznie szarpanym przez nieprzyjaciół, którego cały wysiłek musiał być wyłącznie ku obronie skierowany. Wydaje się, że obecna epoka, następująca po odzyskaniu utraconego bytu państwowego, sprzyjać będzie nawrotowi do dawnych wielkich tradycyj polskiej myśli politycznej.

B.

Najnieszczęśliwsi przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej

Naoczny świadek podaje opis wzruszającej pielgrzymki nieuleczalnie chorych z przytułków warszawskich, która odbyła się w końcu maja dzięki staraniom ludzi ofiarnych, a w szczególności ks. Superiora Lorka, hr. Zofji Potockiej i p. Sankowskiego.

Ze wszystkich uroczystości i ceremonjałów, uświęconych tradycją, najbardziej przejmującym jest na Jasnej Górze moment odsłonięcia Cudownego Obrazu.

W głuchy warkot bębnów towarzyszący podniesieniu zasłony wdziera się nagle ekstatyczny dźwięk trąb. . Metaliczne o brzękającem brzmieniu granie wypełnia przestrzeń kaplicy z Cudownym Obrazem... Rzewliwe srebrne głosy trąb śpiewają harmonijną pieśń, a bębny huczą jak łomot kopyt końskich z Apokalipsy...

Na kamiennej podłodze w kaplicy tu i ówdzie wyżłobione są głębokie brózdy... To ślady wytarte w kamieniu kolanami pielgrzymów, tysięcy i miljonów pielgrzymów, którzy przez dziesiątki lat i wieki tu właśnie, na kolanach, czołgali się w najkorniejszym hołdzie... Każdy kamień tu jest do cna przeżarty łzami, które przez wieki całe nieśli tu ludzie, by wypłakać wszystkie dole, smutki i nieszczęścia... Tu każdy kamień jest olbrzymią historją miljonów istnień ludzkich...

Z zalanych słońcem krużganków ciągnęły się nosze pielgrzymki nieuleczalnie chorych długim szeregiem — w chłodną głąb kaplicy. Nosze złożono na podłodze, przed kratą, oddzielającą Cudowny Obraz... Dziewięćdziesiąt trzy pary oczu, widzących i niewidomych, utkwiło w jasności świateł gorejących wokoło ciemnego oblicza Madonny Jasnogórskiej... Dziewięćdziesiąt troje ust poruszało się w niemej modlitwie o łaskę zmiłowania i ulżenia... Dziewięćdziesiąt trzy serca biło do taktu grającym srebrnym trąbom...

Ciche modły kapłanów, pełganie świec, tłumione przez promienie słońca z witraży, kadzielniane dymy, a ponad tem wszystkiem rozpaczliwe szlochania kobiety: — „Matko, ratuj"...

Bezbarwny, monotonny głos... Tylko dwa słowa:— Matko, ratuj... Bezgraniczną rozpacz zawierał ten okrzyk, ten kołowrotek dwóch słów, tych samych, jednostajnych, powtarzających się jak zaklęcie. Już nie stać było na inne słowa, już cały bezmierny ból, cała nieludzka tęsknota za światem ludzi żywych była w tych dwóch słowach, upartych, przedzierających się przez muzykę organów i modlitwy kapłana...

Jedna z chorych, leżąca na noszach dotąd bezwładnie, uniosła głowę. Nawet tego ruchu (jak mówiła później jedna z sióstr — Magdalenek) — nie mogła wykonać od wielu lat. Teraz uniosła głowę i roziskrzonych oczu nie odrywała od ciemniejącej w górze twarzy Madonny.

Ślepiec o marmurowej twarzy niewidomego wpatrywał się kamiennemi oczodołami w świetliste błyski Cudownego Obrazu... On — widział... On wracał teraz do życia, on teraz — patrzył...

Ciało innej miotane od wielu lat nieustannemi drgawkami, zastygło w cichym bezruchu... Leżała spokojnie na swych noszach, przez parę chwil zasłuchana nieruchomo w dźwięczną muzykę organów...

I wszyscy — te dziewięćdziesiąt trzy istnienia wyrzucone poza nawias życia — musiały mieć tu, chociażby przez ułamek sekundy, spokój, otuchę i ukojenie... Musiały, bo przywiodła je tu wiara w istnienie ucieczki od cierpień i smutku...

Później na krużganku klasztornym w ulewie słonecznego światła, pod niezmąconym błękitem nieba — dalszy ciąg uroczystości...

Dalszy ciąg, wzruszający swą powagą... Oto, na wzór tradycji, istniejącej w Lourdes, kapłani błogosławili chorych, każdego z osobna.

Na krużganku długim szeregiem stoją nosze ciężko chorych. Lżej chorzy siedzą na ławkach, ustawionych w cieniu kapitelów... Ku każdemu z osobna zbliża się kapłan, składając dłoń na czole nieszczęśliwego... I ten hieratyczny ruch ręki, te słowa modlitw, brzmiące wyraźnie w sklepieniach krużganków, to złoto monstrancyj, rysujących znaki krzyża nad każdą umęczoną głową, w najbardziej znękane, niewierzące, skamieniałe od smutków serca, musiały wlać choć odrobinę ożywczej otuchy...

A wokoło na galerjach krużganków tłumy... Dwadzieścia tysięcy, pięćdziesiąt, sto? Może... Nieprzeliczone mrowie...

Morze głów, zastygłe w bezruchu dookoła wielkiego kwadratu w dole, gdzie nad śnieżnemi noszami złote monstancje rysują znaki krzyża...

A nad wszystkiem — upalna jasność błękitnego dnia, zapach bzów i dźwięczne głosy dzwonów Jasnogórskich...

Potem — powrót... Znów te same, co wczoraj wagony, ten sam śpiew i turkot kół... Za zakrętem Aniołowa ginie w oddali zielonych pól migotliwa kula na szczycie wieży klasztornej...

Niestrudzony kierownik i przewodnik pielgrzymki, ks. proboszcz Lorek, Superjor O. O. Misjonarzy, ma chwilę odpoczynku... Opowiada nam historję zorganizowania tej pielgrzymki.

— Pielgrzymka nasza jest druga zkolei. Dwa lata temu była na Jasnej Górze p. Sankowska, złożona ciężką niemocą. Wkrótce, po swej bytności w klasztorze, p. Sankowska odzyskała zdrowie i jako votum dziękczynne, postanowiła wyprawić dziesięciu nieuleczalnie chorych do Częstochowy.

To dało początek pierwszej pielgrzymce, która odbyła się w roku ubiegłym i zgromadziła 30 chorych. Pielgrzymka tegoroczna była znacznie liczniejsza, liczyła bowiem 93 chorych, a zorganizowana została przy ofiarnej pomocy Stow. Pań Miłosierdzia Św. Wincentego a Paulo.

Ogromną pomoc w Warszawie okazali członkowie z Konferencji Św. Wincentego i Sodalicja Młodzieńców; należy również podkreślić fakt, że sześciu sanitarjuszy ze szpitala św. Rocha ofiarowało bezinteresownie swoją pracę... W Częstochowie pomoc nieśli harcerze, sokoli, członkowie związków i straż pożarna, która czuwała nad porządkiem w czasie uroczystości.

Tylko przy tak wydatnej pomocy można było zorganizować taką pielgrzymkę, wymagającą wielu zachodów...

Pociąg mija Radomsko, Piotrków, Koluszki... W wagonie z chorymi na noszach — cichy śpiew...

Na najbliższych z brzegu noszach — siwa głowa... To ta, sparaliżowana od dwudziestu lat... Twarz chorej pełna jest spokojnej jasności... Usta poruszają się w szepcie:

— Tyle lat marzyłam... Tyle lat chciałam być w Częstochowie... Jest mi lepiej, jest mi dobrze... Och, jak dobrze...

Po woskowo - bladych policzkach spływają wielkie łzy...

Uciekają za oknami pola, sady, stacje... Błękitnieje wieczorne majowe niebo... Turkocą koła wagonów i każdy ich obrót przybliża pielgrzymów do domu — do sanatorjów, klinik, łóżek, cierpienia...

Z otwartych okien wagonów płynie chóralny śpiew. Lecz niema w nim goryczy i żalu... Dźwięczy w nim nuta otuchy, nadziei, wiary najżarliwszej, zaczerpniętej tam u stóp Madonny Jasnogórskiej, w graniu srebrnych trąb, w złotem lśnieniu monstrancyj...

Nadziei i wiary, — które czynią cuda...

Polacy na wyspie Niedźwiedziej

Jedenasty miesiąc upłynął od chwili, gdy statek „Sverre" dobił do brzegu wyspy Niedźwiedziej, wioząc polską ekspedycję „Roku polarnego".

Na jałowym, skalistym gruncie stanęli trzej młodzi badacze - zapaleńcy: Centkiewicz, Łysakowski i Siedlecki, wiedząc, że odtąd ta monotonna i opustoszała wyspa będzie miejscem ich zamieszkania, ośrodkiem dla badawczych wysiłków, których celem jest zdobycie tajemnicy podbiegunowej.

Björnöya — to wyspa skalista i ponura, otoczona zewsząd małemi, fantazyjnemi zatoczkami. Tuż nad ciemną, gwałtownie obijającą się o urwiste brzegi, wodą unoszą się chmury sinoszarych mew.

W głębi wyspy wystrzelają ku górze dwa wysokie maszty radjostacji. Uosabiają one nieustanną wędrówkę cywilizacji, która dotarła do tak oddalonego stopnia geograficznego i naznaczyła wymową swego dumnego symbolu ponurą pierwotność tej ziemi.

Obsługa stacji radjowej to jedyni tutejsi mieszkańcy.

Radjotelegrafista Oejen, Norweg, jego żona Margaret, brat, kilkunastomiesięczny synek Björn... czyli niedźwiadek, koń i pies — wszyscy z entuzjazmem witają polską ekspedycję.

Przybywa ona ze świata i przywozi ze sobą tak cenione tu gazety i wszelkie, różnego rodzaju nowiny.

Kierownik stacji robi honory domu. Oprowadza, pokazuje, tłomaczy.

Ten oto domek przeznaczony jest dla ekspedycji.

Umeblowanie wywołuje okrzyki zachwytu. Fotele i biurka amerykańskie, a zwłaszcza linoleum na podłodze! Tu, wśród tego krajobrazu gęsto usianego kamieniami, domek wydaje się oazą kultury i niesłychanego wykwintu.

Skąd się to wszystko wzięło?

Oejen patrzy się i uśmiecha. I wnet tajemnica przestaje być tajemnicą. Dawniej, w czasie wielkiej wojny, aż do 1926 roku, Norwegja posiadała na wyspie swoją kopalnię węgla, która zatrudniała około 1000 robotników. Po opuszczeniu jej pozostały wszystkie urządzenia, między innemi elektrownia, transformatory, lokomotywy. Ten domek — był siedzibą zarządu.

Tak więc zetknęła się polska ekspedycja z wyspą Niedźwiedzią i jej mieszkańcami.

Praca rozpoczęła się natychmiast. Wyładowywanie bagażu, zawierającego instrumenty meteorologiczne oraz żywność na wiele miesięcy, trwało parę dni.

A później rozpoczęła się męka instalacji przyrzą-

dów i „zagospodarowywania się“. I chociaż do pomocy przy tem mieli trzej uczestnicy wyprawy samego dyrektora P. I. M-u, prof. Lugeon‘a i inż. Gurtzmana — pracowali wszyscy z odświętnem natężeniem.

Robota paliła się w rękach. Czas mknął niepostrzeżenie. Niewiadomo było, czy się tak rozpędził, czy wogóle przestał istnieć?

Zwłaszcza póki trwał wieczny dzień trudno było podzielić go sobie według wskazówek zegarka.

To, że każdy musiał być „do wszystkiego“, i poprzez czynności tragarza, stolarza i zamiatacza stać się wreszcie badaczem - naukowcem, nikomu nie psuło humoru i wydawało się zupełnie naturalne.

Każdej nieprzyjemnej „harówce“, każdemu ciężkiemu zadaniu przyświeca przecież podniecający cel — wydobycia na jaw tajemnicy aury podbiegunowej.

Cóż wobec tego znaczy, że dla takiej drobnostki, jak ustawienie magnetografów trzeba było jeden budynek całkowicie z wewnątrz opalić, zdezynfekować, wyszorować, a więc nadźwigać tyle kubełków węgla, wody i godzinami zginać się nad pucowaną podłogą?!

Cóż wobec tego szkodzi, że nieustanne wichry zrywają misterne instalacje, które ciągle trzeba naprawiać?

Czemże wobec tego jest przetrzymanie długiego okresu „nocy polarnej“, kiedy w ciemnościach należy ślęczeć nad szczegółowemi wymiarami i żmudnemi badaniami?

Ale życie na wyspie składa się jak i wszędzie również i z drugiej, mniej wzniosłej, a nawet całkiem prozaicznej strony!

Trzeba było pomyśleć o gospodarstwie i podzielić się domowemi rolami.

Na podstawie milczącej i jednogłośnej umowy, benjaminek wyprawy i jej najmłodszy uczestnik, mianowany został nadwornym kucharzem.

Nic mu nie pomogły wykręty i obiecywania, że „dziś gotuje po raz ostatni“, wola „ludu“ Björnöyi była nieugięta i nieubłagana.



Z biegiem czasu życie towarzyskie na wyspie ogromnie się rozwinęło. Telefon polowy założony między domkami kierownika stacji i ekspedycji bynajmniej nie próżnuje.

— Hallo, tu mówi miejscowa radjostacja. Zapraszam uroczyście wszystkich w komplecie na skromną kolację. Ale proszę nie zapomnieć o patefonie!

— Hallo, tu mówi członek polskiej ekspedycji „Roku polarnego“. Mam zaszczyt zaprosić pana kierownika z „przyległościami“ na wykwintny obiad. Koń i pies nie wykluczeni.

I życie zaczęło płynąć uregulowanym, monotonnym nawet, trybem.

Pogoda ciągle się zmienia. Dopóki jednak trwa dzień wyspę przeważnie zalega gęsta mgła.

Im krócej jaśniało na niebie słońce, kryjąc się zaraz za najwyższym miejscowym szczytem górskim „Mont Misery“, przezwanym przez ekspedycję „Mizerakiem“ (dla swego niepozornego wyglądu), im dłużej, dzień po dniu Björnöyę zalegały nieprzebite ciemności— tem częściej ukazywała się zorza polarna.

Wtedy czarne tło nieba przerzynała zjawiskowa smuga o pastelowych barwach — bzowych, zielonych, różanych. Kamienista wyspa przeistaczała się wówczas w zaczarowaną krainę z „tysiąca i jednej nocy“, a oczy nawykłe do jednostajnych mroków miały wielkie i zasłużone święto.

A praca toczy się i toczy bez względu na kaprysy pogody.

Oczywiście, pierwszych dni zupełnej ciemności, zanim się do niej przyzwyczajono, nie można było zaliczyć do przeżyć miłych i radosnych.

Na „nastroje“ jednak, na smętne refleksje nie było ani chwili czasu.

Plan pracy przewiduje bowiem nieustępliwie takie, a nie inne punkty: 1) służba czasu i chronografia 2) akumulatory, 3) pełne obserwacje meteorologiczne 4) obserwacje i fotografowanie chmur, 5) zorze polarne, 6-atmo-radjografy i badanie zjawisk pokrewnych, 7) magnetyzm ziemski i pomiary absolutne.

Nam może niewiele to mówi — lecz tam, na wyspie Niedźwiedziej, punkty owe wypełniają trzem ludziom całkowicie dnie i noce.

Krótkie odpoczynki spędza się przy czytaniu korespondencji, bridżu i radjo.

Radjo jest, a zwłaszcza było podczas długiej, zdawało niekończącej się nocy polarnej, jedynym łącznikiem ze światem cywilizowanym.

To ono, kiedy żaden statek nie przybijał do brzegu, a zdarzało się tak w ciągu całych miesięcy — dostarczało wieści o życiu, które toczyło się i toczy niezmiennie swojemi drogami i przeznaczeniami, o setki tysiące kilometrów od wyspy Niedźwiedziej.

Głośnik przynosi sensacje, zmiany, oszałamiające zdarzenia, zatapiając ponurą, skalistą Björnöyę historją i tętnem dnia dzisiejszego.

Ale radjo ma jeszcze inną, intymną wartość dla tych „trzech z wyspy Niedźwiedziej", daje im bowiem co tydzień kilkuminutowe rozmowy z najbliższymi.

Poprzez olbrzymie przestrzenie lądu i wody płyną słowa nabrzmiałe miłością i tęsknotą. Rodzina, krewni, przyjaciele mówią do nich zdaleka o rzeczach ważkich i o śmiesznych drobnostkach. A ci co słyszą to, obcy i nieznani, niejednokrotnie milcząco, myślą i sercem, przesyłają tym trzem polskim „biegunowcom„ słowa uznania, pomyślności i uczestniczą na krótką chwilę w ułamkach ich życia.

Niewiele czasu dzieli nas od powrotu polskiej ekspedycji „Roku polarnego". Parę tygodni pracy i żmudnych badań na usługach nauki.

Wrócą w sierpniu. Przywiozą ze sobą materjał zdobyty podczas kilkunastu miesięcy „wiecznej nocy" i „wiecznego dnia".

Wrócą z pełną świadomością spełnienia bohatersko swego zadania naukowego, stanowiącego cząstkę wielkiego, wspólnego dzieła międzynarodowego, któremu na imię — „Rok polarny".

Przyjmiemy ich, wracających z kraju skąpego słońca, hojnem ciepłem naszego lata, serdecznością powitania, w którem będzie radość, uznanie i duma!

Kapitan Skarżyński w Brazylji.

W swoim czasie pisaliśmy już o szczęśliwem przebyciu przez kapitana Skarżyńskiego południowego oceanu Atlantyckiego i wylądowaniu na ziemi brazylijskiej. Na lotnisko przybyły witać lotnika wszystkie miejscowe organizacje polskie, dziatwa szkolna, brazylijskie władze cywilne i wojskowe oraz liczna publiczność. Naprzeciw kapitana Skarżyńskiego wyleciała eskadra samolotów brazyljskich, a muzyka odegrała hymny narodowe obu państw.

Łatwo sobie wyobrazić radość, jaka zapanowała wśród naszego wychodztwa, gdy mogli się pochwalić przed Brazylijczykami, że oto polski lotnik, na samolocie wykonanym przez Polaków w Polsce, przyleciał pod gorące niebo południa, przywożąc z sobą pozdrowienia z ojczystej ziemi, którą opuścili, ale której nie przestali gorąco kochać.

Kapitan Skarżyński był dosłownie obnoszony na rękach, a jego maszyna, gdyby nie była strzeżona, zostałaby rozniesiona po kawałku na pamiątkę. W czasie swej podróży miał drobny wypadek, szczęśliwie jednak zakończony. Oto z powodu zepsucia się przyrządu doprowadzającego oliwę, zmuszony był lądować przymusowo. Lądowanie, mimo ciężkiego terenu, odbyło się pomyślnie, tak, że ani lotnikowi ani maszynie nic się nie stało.

W Kurytybie zorganizowano cały szereg uroczystości na cześć bohaterskiego lotnika. W dniu przylotu kpt. Skarżyńskiego w sali lokalu Związku Polskiego odbyła się wielka akademia, która zgromadziła tysiące miejscowych Polaków. Wśród zebranych panował ogromny entuzjazm. Trzeba zaznaczyć, że do pochodzenia polskiego przyznają się tu z dumą nawet ludzie, którzy od dwóch pokoleń nie mówią po polsku.

W ciągu następnych dni odbył się ku czci kpt. Skarżyńskiego szereg balów i rautów. W czasie jednego z przyjęć lotnikowi doręczono złoty medal, nadany mu przez Aeroklub parański.

Z okazji przybycia do Kurytyby kpt. Skarżyńskiego tutejsze orkiestry wojskowe odebrały poraz pierwszy hymn polski.

Kpt. Skarżyński spędził 3 dni w kolonjach polskich w Ponta Grossa, Iraty i Marchal Mallet, gdzie go przyjmowano z niesłychanym entuzjazmem.

W ciągu całego pobytu kpt. Skarżyńskiego w Kurytybie prasa brazylijska i polska codziennie zamieszczała jego podobizny i poświęcała mu długie artykuły zatytułowane: „Wielki lot bohaterskiego Polaka", Skrzydła polskie pod niebem Brazylji" i t. d.

Podczas lądowania w Kurytybie na nierównym terenie niewykończonego jeszcze lotniska, podwozie samolotu kpt. Skarżyńskiego doznało nieznacznych uszkodzeń, które natychmiast naprawili mechanicy lotniska pod kierunkiem inż. Polaka, Tadeusza Wasilewskiego.

W chwili odlotu kpt. Skarżyńskiego do Porto Alegro żegnał go prezydent stanu, przedstawiciele władz wojskowych, konsulatu polskiego in corpore i olbrzymie tłumy miejscowego społeczeństwa bez różnicy narodowości.

Brazylijski klub lotniczy, uchwalił zaliczyć w poczet swoich członków honorowych kapitana-pilota Stanisława Skarżyńskiego. Jest to dowód zarówno uznania dla jego bohaterskiego przelotu nad oceanem Atlantyckim, jak i chęci zacieśnienia węzłów przyjaźni między lotnictwem naszem a brazylijskiem.

Brazylijskie gazety rozpisują się szeroko o tem, gdyż nasz lotnik jest pierwszym członkiem honorowym tego klubu.

Wiadomości z Kraju.

ŚWIĘTO MORZA.

Odezwa Prymasa Polski.

Kardynał Prymas Polski, ks. dr. August Hlond, który jak wiadomo zgodził się objąć protektorat nad obchodem Święta Morza, wydał do duchowieństwa odezwę, w której zezwolił na odprawianie w tym dniu nabożeństw na intencję, by pomyślny rozwój umożliwił Polsce jej pokojowe posłannictwo dziejowe i na wygłoszenie kazań na temat religijnych i kulturalnych zadań Polski, które są uwarunkowane jej swobodą na lądzie i morzu oraz jej wiernością dla ideałów Chrystusowych. W odezwie tej przebija życzliwa chęć poparcia uroczystości, której myśl „podyktowana jest przez najczystszy patrjotyzm i instynktowne wyczucie przeznaczeń Państwa“ i która, według słów Dostojnego Pasterza „jest wyrazem świadomości, że bez morza niema Polski swobodnej i potężnej, wyrazem pokojowej, lecz zdecydowanej woli narodu, który odzyskawszy niepodległość z woli Opatrzności, w żaden sposób nie chce i nie może się wyrzec własnego morza“.

Odezwa biskupa łódzkiego.

Ks. Tymieniecki biskup łódzki w związku ze świętem morza wydał okolicznościowy list pasterski, przepełniony głębokiem ukochaniem morza i wybrzeża polskiego oraz wdzięcznością dla Zbawiciela za odzyskanie niepodległości i błogosławienie wolnej Polsce. Jednocześnie Jego Ekscelencja zarządził, by księża proboszczowie 29-go b. r. we wszystkich kościołach odprawili uroczyste nabożeństwa z kazaniami, poprzedzone pięciominutowem biciem w dzwony.

Z niemniejszą życzliwością do uroczystości odnieśli się inni członkowie Episkopatu polskiego.

Przebieg uroczystości.

Tegoroczny dzień św. Piotra i Pawła pozostanie na długo w pamięci całego narodu. W dniu tym obchodziliśmy uroczyście święto naszego morza.

We wszystkich miastach i miasteczkach, we wsiach i najmniejszych osiedlach odbyły się w tym dniu pochody i manifestacje na cześć polskiego morza i Pomorza. Nie było ani jednego Polaka, któryby się z temi podniosłemi manifestacjami sercem nie połączył. Wszyscy w zgodnej i zwartej gromadzie zaświadczyli w tym dniu, że rozumieją znaczenie morza i gotowi są w każdej chwili bronić go do ostatniej kropli krwi.

Najokazalej wypadły uroczystości w Warszawie i w Gdyni. W Warszawie po uroczystem nabożeństwie w katedrze św. Jana z udziałem Pana Prezydenta, odbyła się defilada delegacyj ze sztandarami, poczem złożono wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza.

W samo południe Pan Prezydent wygłosił przez radjo piękne przemówienie, które podaliśmy w całości w poprzednim numerze.

Po przemówieniu Pan Prezydent przyjął delegację ludności województwa łódzkiego, która wręczyła Mu dar na obronę morza w wysokości 265 tysięcy złotych. Dar ten powstał z groszowych datków ludności województwa łódzkiego.

Całe miasto wrzało w tym dniu do późnego wieczora radością i weselem.

Do Gdyni zjechało na święto morza około 50 tysięcy osób. Ogromne wrażenie na zgromadzonych wywarła Msza święta odprawiona nad morzem przez ks. Biskupa Okoniewskiego oraz poświęcenie morza.

W południe odbyła się defilada wojska oraz delegacyj przybyłych z całej Polski. Pierwsza część uroczystości zakończyła się czerpaniem wody morskiej. Wieczorem na morzu odbyła się „Noc Świętojańska“, połączona z widowiskami świetlnemi.

Trzeba jeszcze raz podkreślić, że w „Święcie Morza“ wziął udział cały Naród. Bez różnicy zawodów i przekonań wszyscy w tym dniu stali zgodnie w jednym szeregu frontem do morza i Pomorza.

Do głównego komitetu „Święta Morza“ w Warszawie nadeszło przeszło 20 tysięcy rezolucyj z różnych okolic kraju. Rezolucje te uchwalono na zebraniach w dniu święta morza.

„Święto Morza“, to wielkie radosne święto pracy i przyszłości, było świadectwem, że jesteśmy i będziemy na zawsze z polskiem morzem związani. Tak powiedział w Swej mowie Pan Prezydent Rzeczypospolitej i taka jest wola całego Narodu polskiego.

Tam nasz rozwój mocarstwowy, tam przyszłość Polski — na morzu.

Ignacy Paderewski członkiem Komitetu Honorowego „Święta Morza”.

Na czele obchodu „Święta Morza“ stoi Komitet Honorowy złożony z wybitnych przedstawicieli społeczeństwa, organizacyj i stowarzyszeń. W związku z tym Liga Morska i Kolonjalna otrzymała radjotelegram następującej treści:

Morges

Łaskawie ofiarowaną mi godność członka Komitetu Honorowego jaknajchętniej przyjmuję. Oby „Święto Morza“ było wyrazem jednomyślności Narodu w obronie jego odwiecznych praw do ziemi praojców i stwierdzeniem naszej niezłomnej woli utrzymania całości Ojczyzny.

Paderewski.

Gdynia na filmie francuskim.

Od kilku dni bawią w Gdyni przedstawiciele firmy kinematograficznej „Pathe Cinema“ z p. Robertem Alexandre, dyrektorem aktualności, którzy wraz ze specjalną aparaturą objeżdżają Gdynię, port i miasto oraz oko-

licę, zatrzymując się wszędzie i robiąc zdjęcia dźwiękowe.

Pobyt miłych gości francuskich przyczyni się niewątpliwie do wielkiej propagandy wysiłku narodu polskiego na terenie świata.

Rezolucje w dniu „Święta Morza" sztafetami z całej Polski.

Realizacją celów „Święta Morza" są uchwały powzięte w dniu 29 czerwca, które dają wyraz jednomyślnej opinji całego społeczeństwa. Rezolucje te zawierają następujące punkty:

1) Stwierdzenie, że nierozerwalna łączność odwiecznie polskiej prowincji nadmorskiej Pomorza z Rzecząpospolitą, posiadanie własnych portów, marynarki handlowej i wojennej — jest niezbędnym warunkiem wolności politycznej i gospodarczej państwa polskiego.

2) Protest i ostrzeżenie opinji publicznej świata całego wobec niemieckiej akcji i propagandy rewizjonistyczno - odwetowej, rozbudzającej ponowne zakusy na cudze ziemie, a wszczególności na ziemie Polski.

3) Stwierdzenie, że tylko zdecydowana postawa narodów, miłujących pokój i pracujących nad odbudową gospodarczą i finansową świata, może przyczynić się do poszanowania przez wszystkich międzynarodowego prawa — traktatów, najistotniejszej gwarancji pokoju powszechnego.

4) Oświadczenie, że jakiekolwiek próby zamachu na całość granic Rzeczypospolitej spotkają się ze zdecydowanym odporem całego narodu polskiego.

Przeszło 20 tysięcy uchwał tych dostarczono przy pomocy sztafet (konnych, rowerowych, motocyklowych, samochodowych, kolejowych oraz przez lotników) ze wszystkich zakątków Polski do Warszawy do specjalnej urny, ustawionej na Placu Marszałka Piłsudskiego w dniach 29 i 30 czerwca.

Polonja Zagraniczna

Francja.

Wizytacje ks. Biskupa Kubiny.

J. E. ks. biskup Kubina wizytuje obecnie dekanat środkowej Francji, celebrując nabożeństwa, udzielając Sakramentu Bierzmowania i wygłaszając nauki do naszych rodaków. Polska ludność robotnicza z entuzjazmem przyjmuje wszędzie księdza biskupa. W końcu czerwca ks. biskup wizytował dekanat wschodniej Francji. Dnia 2 lipca w Metzu odbył się zjazd katolicki Polonji francuskiej.

KONKURS IM. STANISŁAWA GAWROŃSKIEGO.

Ogłoszony w zeszłym roku konkurs na temat wspomnień z życia na obczyźnie wzbudził duże zainteresowanie jak świadczy liczba prac przysłanych w ustalonym terminie. Jest ich 114, obejmujących wszystkie niemal kraje zamieszkałe przez Polaków. Jury konkursowe zajęte jest obecnie ich odczytywaniem. Ogłoszenie wyniku konkursu nastąpi po upływie okresu wakacyjnego.

NASZ DODATEK MUZYCZNY.

Do lipcowego numeru dołączamy jako bezpłatny dodatek dla chórów polskich zagranicą dwie góralskie pieśni chóralne Wacława Lachmana p. t. Owiecki i Góralicku siumny.

WARUNKI PRENUMERATY: w kraju łącznie z przesyłką pocztową: rocznie 10 zł. półrocznie 6 zł. Numer pojedyńczy 1 zł.
Zagranicą rocznie: w Rumunji 200 lei, w Ameryce 2 dolary, we Francji 30 franków, w Niemczech 5 mk.
W innych krajach równowartość 2 dol amerykańskich. prenumerata półroczna połowę.

OGŁOSZENIA: Cała strona za tekstem zł. 300, 1/2 strony zł. 150; 1/4 zł. 80; 1/8 — 40; 1/16 — 20; 1/32 — 10,
ogłoszenia opisowe w tekście redakcyjnym o 50% drożej.

WYDAWCA: Opieka Polska nad Rodakami na obczyźnie· Redaktor Jadwiga Umiastowska-Morawska
Redakcja i Administracja — Warszawa, Krakowskie Przedmieście 6. m. 11 a tel. 690-54

Salezjańska Szkoła Graficzna, Warszawa ul. Ks. Siemca 6 Tel. 337-72

30. **Oddział w Obornikach,** pow. obornicki, (Prezes ks. Proboszcz Szymański).
31. „ **Ostrowie Wielkopolskim,** pow. ostrowski (Prezes Mecenas Janowski).
32. „ **Piłce,** pow. czarnowski. (Prezes ks. Proboszcz Palmowski).
33. „ **Pleszewie,** pow. pleszewski. (Prezes ks. Kwiatkowski).
34. „ **Poznaniu,** ul. Wały Zygmunta Starego 9.
35. „ **Rozdrażewie,** pow. krotoszyński. (Prezes ks. Proboszcz Bronisz).
36. „ **Śremie,** pow. śremski. (Prezes ks. Proboszcz Michalski).
37. „ **Sulmierzycach,** pow. odolanowski. (Prezes Szymczak).
38. „ **Szamotułach,** pow. Szamotulski (Prezes ks. radca Kaźmierski).
39. **Oddział w Śmiglu,** pow. śmigielski. (Prezes ks. Proboszcz Nowak).
40. „ **Ujściu,** pow. chodziecki. (Prezes Lewandowski)
41. „ **Wągrówcu,** pow. wągrówiecki. (Prezes ks. Wróblewski).
42. „ **Wieleniu nad Notecią,** pow. chodziecki. (Prezes ks. Proboszcz Woschke).
43. „ **Wolsztynie,** pow. wolsztyński. (Prezes B. Kurpisz).
44. „ **Wrześni,** pow. wrzesiński. (Prezes ks. Dziekan Fierek).
45. „ **Wysocku Wielkim,** pow. ostrowski (Prezes ks. dr. Kąkolewski).
46. „ **Zaniemyślu,** pow. średzki. (Prezes ks. Proboszcz Nowrowski).
47. „ **Zbąszyniu,** pow. nowotomyski. (Prezes ks. Proboszcz Płotka).

SPIS OPIEK POLSKICH WE FRANCJI

w **Paryżu,** II rue l'Interne Loeb. Paris XIII
w **La Madeleine les Lille** (Nord) 119, Bd. de la Republique
w **Nancy,** (M. M.) 16, a. Passage de la Rame
w **Roubaix,** 66 rue d'Inkermann
w **Toulouse,** (H. Garonne) 25, rue Bayard.

OPIEKA POLSKA W NIEMCZECH

(Polnischer Hilfsverein) Berlin, Kurfürstenstrasse 137

SSR
SALEZJAŃSKA · SZKOŁA · RZEMIOSŁ
DZIAŁ · GRAFIKI
WARSZAWA · KS. SIEMCA · 6